MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK X. Nr. 18. WARSZAWA, 4 MAJA 1930 R. CENA NUMERU 80 GR.

JESZCZE O „PAŃSTWIE NARODOWEM"

MIEĆ w dyskusji za przeciwnika pisarza i myśliciela tej miary, co prof. Stanisław Grabski — to zaszczyt niemały [1]). To równocześnie gwarancja niezawodna, że dyskusja nie będzie bezowocna, że istotnie doprowadzi do wszechstronniejszego oświetlenia i dokładniejszego rozważenia omawianych zagadnień. Prof. Grabski tę ma jako polemista właściwość, że chce zawsze nie pokonać, ale przekonać, nie o triumf nad oponentem mu chodzi, ale o rzeczywiste wyjaśnienie sprawy, rozwinięcie i uzasadnienie swoich twierdzeń, uzupełnienie ich dalszemi jeszcze, na niezwykle rozległej wiedzy i ogromnym zasobie doświadczenia opartemi argumentami i uwagami.

Chęć przyczynienia się do możliwie wyczerpującego wyjaśnienia kwestji, nie obrona raz zajętego stanowiska, jest również jedynym względem, który ośmiela mnie do ponownego, obszerniejszego przedstawienia i umotywowania zasadniczych moich, wobec niektórych tez prof. Stanisława Grabskiego objekcyj. Najnowsza książka prof. Grabskiego jest w dzisiejszem, umysłowem i politycznem życiu Polski wydarzeniem tak doniosłem, że przemyślenie tego niepospolitego dzieła, sumienne, z rozmaitych stron ujmujące sprawę, rozpatrzenie poszczególnych, zawartych w niem projektów, wydaje się jednym z ważniejszych i pilniejszych zarazem obowiązków chwili obecnej.

*

W pierwszej odrazu części swojej „Odpowiedzi" prof. Grabski z naciskiem przypomina fakt, iż postulat, aby „w okręgach o liczebnej przewadze ludności niepolskiej, Polacy i niepolacy głosowali w dwuch odrębnych kołach", a tem samem zabezpieczony został większy wpływ głosów polskich przy wyborach do sejmu i ciał samorządowych, już na długo przed wybuchem wojny światowej stanowił jeden z zasadniczych punktów programu stronnictwa demokratyczno - narodowego w b. zaborze austrjackim. Postulat ten został nawet częściowo urzeczywistniony, ponieważ „Koło Polskie w Wiedniu uzyskało w 1906 r... utworzenie w Małopolsce Wschodniej okręgów dwumandatowych, z jednym mandatem dla mniejszości polskiej, przewyższającej 25% i drugim dla większości ruskiej, przewyższającej 50% ogólnej liczby oddanych w okręgu głosów".

Oczywiście, samo przypomnienie takie nie jest jeszcze argumentem, przemawiającym za utrzymaniem, w zmienionych najzupełniej warunkach, dawniejszego, najdłuższą chociażby tradycją walk w jego obronie uświęconego programu. Stronnictwo demokratyczno - narodowe energicznie stawiało w tymże okresie żądanie „wyodrębnienia Galicji", a nikt przecież hasła nadania Małopolsce „ustroju odrębnego od reszty państwa" [2]) nie uważałby za wyraz „nacjonalistycznej opinji polskiej" w chwili dzisiejszej.

Ważniejsze atoli znacznie i samego sedna sprawy sięgające jest tutaj zagadnienie inne: dlaczego program tego rodzaju zrodził się właśnie pośród narodowców polskich w b. zaborze austrjackim, dlaczego, chociaż ludność obcojęzyczna znajduje się i na innych ziemiach polskich, tam, na terenie b. monarchji habsburskiej, powstała i utrzymuje się myśl, ażeby na tej właśnie drodze poszukiwać sposobu przezwyciężenia wypływających z tego stanu rzeczy trudności?

Przedwojenna Austrja była państwem nie narodowem, lecz państwem narodowości. Nie była jednakowoż bynajmniej państwem narodowości

[1]) Por. artykuł mój: „Państwo narodowe (Nowa książka prof. Stanisława Grabskiego)" w nr. 12 „Myśli Narodowej" z dn. 23 marca r. b. oraz artykuł prof. Stanisława Grabskiego: „W odpowiedzi na wątpliwości" w nr. 16 „Myśli Narodowej" z dn. 20 kwietnia r. b.

[2]) „Program Polskiego Stronnictwa demokratyczno-narodowego w państwie austrjackiem" Lwów, 1908, str. 12—18.

równouprawnionych. Ustrój dawnego cesarstwa austrjackiego oparty był na skomplikowanym systemie hierarchji ludów, „reprezentowanych w Radzie Państwa", posiadających nierówne zgoła stanowisko w państwie i różny stopień wpływu faktycznego na jego losy, a w związku z tem mniejsze albo większe prawa oraz przywileje, gorsze lub lepsze warunki narodowego rozwoju. Najwyższy szczebel na tej drabinie hierarchicznej zajmowali Niemcy, Polacy mieli pozycję dogodniejszą, aniżeli np. Rusini. Stanowisko poszczególnej narodowości zależne było od jej siły liczebnej, gospodarczej, kulturalnej, od znaczenia, jakie umiało sobie, zdobyć przedstawicielstwo jej w parlamencie wiedeńskim, od wpływów, jakiemi mogła rozporządzać na dworze. Podciągnięcie się o szczebel wyżej, a nawet utrzymanie się w pozycji dotychczasowej wymagało ustawicznej czujności i walki, więc też to właśnie: chęć zdobycia i zabezpieczenia dla swej narodowości jaknajbardziej uprzywilejowanego stanowiska w państwie, wrosło w instynkty, stało się istotną, codzienną treścią narodowych programów i działań wszystkich bez wyjątku ludów monarchji.

Otóż projekt zabezpieczenia przewagi polskiej w ten sposób, że ludność polska i ludność niepolska głosowałyby w dwuch odrębnych kołach, jest u swych podstaw — wbrew intencjom najoczywistszym autora — wręcz z ideą państwa narodowego niezgodny. Daje on narodowi polskiemu nie stanowisko jedynego gospodarza w państwie narodowem, lecz stanowisko narodu najbardziej uprzywilejowanego w państwie narodowości. Państwo — w myśl tego projektu — nie jest bynajmniej organicznie zespolone z narodem, jako forma prawna jego istnienia. Pojęcie państwa, jako spółki zamieszkujących je narodowości, będące podstawą t. zw. „państwowej" ideologji obozu „sanacyjnego", poprawia się tutaj przez przyznanie narodowi polskiemu stanowiska uprzywilejowanego statutowo, coś jakgdyby stanowiska właściciela akcyj pierwszej emisji.

Najistotniejszą wątpliwością, jaką budzi projekt podziału wyborców na dwie kategorje jest — z wychowawczego stanowiska — to właśnie, że z „obojętnej na dziejowe dążenia Polski, a nawet częściowo wrogiej ludności" stwarza niejako instytucję, że w tym charakterze właśnie zabezpiecza jej prawo poważnego wpływu na rozstrzyganie spraw publicznych, i to w zakresie, który ludność tę niewątpliwie najbliżej obchodzi, w zakresie spraw „bieżącego życia cywilizacyjnego", polityki gospodarczej, społecznej i t. d.

I tutaj — nawiasowo całkiem — pragnę dokładniej nieco wytłumaczyć pewien szczegół z poprzedniego mojego artykułu. Prof. Stanisław Grabski łatwo bardzo rozprawił się z moim argumentem, iż „wykonywanie praw politycznych jest w treści swojej raczej obowiązkiem, niż przywilejem", a wobec tego trudno też rachować na siłę asymilacyjną, jaką stwarzałaby „perspektywa zdobycia... prawa głosowania w wyborach do Izby Wyższej". Prof. Grabski przypomniał fakt niewątpliwy, iż „w ciągu tysiącleci dziejów stany, klasy, stronnictwa, grupy etniczne walczyły o prawa polityczne nie dla spełniania obowiązków, lecz dla zyskania przywilejów". Oczywiście. Poszczególne grupy społeczne dlatego najczęściej walczą o zdobycie wpływu na rozstrzyganie najdonioślejszych spraw polityki państwowej, ażeby podnieść tym sposobem swe stanowisko gospodarcze i socjalne, uzyskać z tem podniesieniem związane korzyści i uprawnienia. Także jeśli w Polsce dzisiejszej liczne grupy dbają o utrzymanie powszechnego prawa wyborczego, nietyle chodzi im o urzeczywistnienie swych idej w zakresie polityki zagranicznej, organizacji siły zbrojnej i t. d., ile o możność wpływu na przeprowadzenie np. reformy rolnej, ustawodawstwo społeczne, zagadnienia ekonomiczne czy podatkowe. Ale przecież cały projekt prof. Grabskiego oparty jest na wydzieleniu „spraw mocarstwowej potęgi i dziejowej przyszłości narodu" i przekazaniu ich wyłącznej kompetencji Izby Wyższej. Jeśli więc i przy wyborach do Izby Wyższej decydować miałby wzgląd na „zyskanie przywilejów", czyż nie zaprzeczałoby to właściwie naczelnej idei reformy, czyż nie byłoby poprostu... powrotem do stosunków dzisiejszych, kiedy „parlamentarni przedstawiciele różnych warstw i stronnictw, z punktu widzenia przemijających interesów tych warstw i stronnictw oceniają i rozstrzygają sprawy dziejowego dla narodu i państwa znaczenia"[3])? Toż poto przecież „sprawy dnia bieżącego", „sprawy lepszych warunków zbytu czy opustów podatkowych" pozostawione być mają Izbie niższej, a prawo wybieralności do Izby Wyższej mają mieć jednostki, dające „największą gwarancję, że w swych uchwałach kierować się będą nie żądzą chwilowego poklasku, lecz poczuciem odpowiedzialności za losy narodu", by zagadnienia „mocarstwowej potęgi" Rzplitej rozstrzygane były niezależnie od jakichkolwiek doraźnych względów, jakichkolwiek osobistych czy klasowych dążeń, interesów i korzyści wyborców...

*

Ustrój narodowy — to najpełniejsze, organiczne związanie państwa z narodem, zespolenie jednością idei, najdoskonalsze dostosowanie organizacji państwowej do urzeczywistniania historycznych zadań narodu. W ustroju narodowym, naród jest w państwie władcą jedynym, to znaczy: nieskrępowany, najwszechstronniejszy rozwój cywilizacji narodowej jest jedynym celem działalności państwa i samego jego istnienia, jedynem uzasadnieniem posiadanych przez państwo uprawnień.

W tem zrośnięciu państwa i narodu, jakie daje ustrój narodowy, oddziaływanie jest zawsze wzajemne: naród wyciska swe indywidualne piętno na charakterze i formach bytu państwowego, kształtuje ten byt w zależności od swoich idej i dążeń, państwo zaś, ze swojej strony, wychowuje i jednoczy naród, wdraża żywioły nie zespolone duchowo z całością, do poczucia odpowiedzialności za nią, przymusza i przyzwyczaja do obowiązku służby publicznej w imię narodowych ideałów. Dlatego, w celach wychowawczych, ustrój narodowy powołać może do udziału w rządach państwem i współodpowiedzialności za jego losy, nawet żywioły niedostatecznie przygotowane, surowe (np. słabo pod względem narodowym uświadomione rzesze ludowe), nawet grupy etnicznie i językowo odrębne, jeżeli istnieją możliwości, że przy zachowaniu odmiennego języka i cech swoistych kultury, poczują się solidarne z dziejowemi ambicjami narodu, jeżeli wpływ, jako równouprawnionych obywateli, na całokształt polityki państwowej, przyuczać je może do moralnego zespolenia się z interesami narodowej całości. Dlatego, wbrew wszelkim liberalnym doktrynom,

---

[3]) „Państwo Narodowe" str. 168.

ustrój narodowy uniemożliwi wogóle wpływ na bieg spraw państwowych żywiołom, zdecydowanie narodowi wrogim[4]), a także grupom, których odrębność rasy, religji, pojęć moralnych i obyczajowych jest tak zasadnicza, że wiązanie ich we wspólnotę duchową z resztą obywateli nie byłoby ani wykonalne, ani pożądane.

Prof. Grabski w „Odpowiedzi“ swej nie wyjaśnił w sposób ogólny wątpliwości, jaką wzbudziło ryczałtowe potraktowanie w jego projekcie wszystkich t. zw. „mniejszości“ narodowych, „jednakowe odnoszenie się do ludności, obcej nam całym swoim typem psychicznym, najgłębszemi instynktami moralnemi, tradycjami i pojęciami, ludności, którą chcemy od społeczeństwa polskiego izolować, by nie wnosiła do naszej cywilizacji narodowej pierwiastków rozkładu,—i do ludności, pokrewnej nam rasą, językiem, obyczajem, ludności, którą z narodem polskim jaknajściślej pragniemy zespolić, wyrywając ją z pod zbrodniczego wpływu separatystycznej agitacji“. Wskazał tylko na okoliczność praktyczną, że „Polaków mojżeszowego wyznania było zawsze, jest i będzie bardzo niewielu", a jeżeliby nawet — co napewno nie nastąpi — „wszyscy żydzi zaliczeni zostali do polskich kół wyborczych, to i w takim razie mieliby oni znacznie mniejszy wpływ na państwo nasze, niż dziś. Obecna ich bowiem siła polityczna w Polsce polega przedewszystkiem na kierowniczej ich roli w bloku „mniejszości narodowych“. Bez tego bloku nie osiągnęliby oni bodaj połowy posiadanych dziś mandatów“.

Ale tworzeniu ustroju narodowego przyświecać musi ambicja większa, aniżeli zapewnienia odpowiedniej ilości mandatów polskich w ciałach ustawodawczych i samorządowych. Państwo narodowe ma do wypełnienia przedewszystkiem ogromne zadanie wychowawcze, powinno instytucjami swemi i ustawami wpajać w ludność pojęcia polityczne i prawne, zgodne z duchem i dążeniami narodu, kształtować jej psychikę, jej życie społeczne, jej obyczaje w myśl wskazań interesu narodowego. Czyż po ustaleniu się w opinji powszechnej takiego pojmowania przynależności do narodu polskiego, jakie zaleca projekt prof. Grabskiego,[5]) możliwe byłoby przeprowadzenie programu całkowitego odżydzenia polskich stowarzyszeń, całkowitego oddzielenia Polaków od żydów w życiu politycznem, gospodarczem, kulturalnem? Czyż, z drugiej strony, zgodne, na równości praw i obowiązków oparte, współżycie rusinów i białorusinów z resztą ludności polskiej w jednych organizacjach społecznych mogłoby się rozwinąć, jeżeli organizacja państwowa wytwarzałaby równocześnie podział na dwie, z różnych całkiem uprawnień korzystające kategorje obywateli?

Prof. Stanisław Grabski, znakomity znawca stosunków w Małopolsce Wschodniej, stwierdza na podstawie swego ogromnego doświadczenia, że w obecnych warunkach to współżycie ludności ruskiej z polską na terenie organizacyjno-społecznym zgoła nie istnieje, że, przeciwnie, trwa i pogłębia się stale dążność do wyodrębnienia, niechęć, nawet nienawiść. Bezwątpienia. Jeśliby położenie było odwrotne, nie byłoby w Polsce wogóle kwestji ruskiej, tak jak we Francji nie istnieje np. kwestja prowansalska. I słusznie czyni prof. Stanisław Grabski, jeśli ostrzega przed naiwnemi, niezgodnemi z rzeczywistością złudzeniami, ale słusznie bardzo przekonany jest głęboko i o tem, że „tak jak w XVI i XVII wieku zespoliła się z Polską szlachta ruska i białoruska—tak obecnie może się zespolić z Polską znakomita większość włościan ruskich i białoruskich“ [6]). I nie trzeba sądzić bynajmniej, jak mniema niejeden, że obudzenie się separatyzmu białoruskiego czy ukraińskiego uczyniło taki program beznadziejnym, że proces asymilacyjny może dawać pomyślne wyniki tylko w stosunku do jakichś nieokreślonych „tutejszych". Poszczególne ludy, zwłaszcza w ramach jednej organizacji państwowej, nieustannie oddziaływają na siebie wzajemnie, i od wielu różnych warunków zależy, jaki typ ostatecznie zdobędzie nad innemi w tem wzajemnem oddziaływaniu przewagę. Oczywiście, taki sposób załatwienia kwestji ruskiej nie będzie przeprowadzony odrazu, nie rozwiąże jej jednym konstytucyjnym zabiegiem, uchwaleniem odpowiednio skonstruowanej ustawy. Ale też w chwili rozstrzygającej dla Państwa próby, nie stosunek liczebny mandatów w sejmie i w ciałach samrządowych, ale stopień rzeczywistego zespolenia ludności kresowej z narodem polskim, zaważy przedewszystkiem na szali.

*

Kończąc te, z natury rzeczy polemiczne uwagi, jakie niektóre, zawarte w książce prof. Grabskiego projekty mi nasunęły, pragnę tu wszelako z naciskiem zaznaczyć jedną jeszcze, ważną niezmiernie wartość tego wybitnego dzieła, dotychczas niedostatecznie bodaj podkreślaną. Po raz pierwszy sformułowany w niem został konkretny program ustroju narodowego, po raz pierwszy dyskusja na temat państwa narodowego wyrwana została z kręgu ogólników, sprowadzona na rzeczowe tory omawiania planu jego urzeczywistnienia. Postawiona została zasada jasna i słuszna, która niezaprzeczenie zawsze będzie musiała obowiązywać, że konstytucja państwa winna „przez odpowiednią organizację władz państwowych podnosić, a nie poniżać ambicję narodową najszerszego naszego ogółu, umacniać, a nie rozbijać jedność narodową, ustalać, a nie podawać w wątpliwość suwerenne prawo narodu polskiego w państwie polskiem“ [7]). Uczyniona została pierwsza próba zastosowania tej zasady w określonych pomysłach ustrojowych.

Przedewszystkiem jednak postawiony został śmiało i wyraźnie program z m i a n y, p r z e b u d o w y dzisiejszego ustroju Rzplitej, usuwając w cień mało entuzjazmujące i nie nazbyt realne ponadto projekty częściowego naprawiania i uzupełniania obowiązującej obecnie Konstytucji.

Pod tym względem najnowsza książka prof. Grabskiego będzie mieć w rozwoju polskiej myśli narodowej i w rozwoju polskiej polityki narodowej znaczenie naprawdę przełomowe.

JAN REMBIELIŃSKI

[4]) Tak więc byłoby niemożliwe pozostawienie j a k i c h k o l w i e k praw wyborczych jednostkom, wyraźnie Państwu Polskiemu nieprzyjaznym, uważającym za swą stolicę nie Warszawę, ale np. Mińsk, Charków lub Moskwę, niezależnie zupełnie od tego, czy byłby to separatysta białoruski lub „ukraiński“, czy też rodowity mazur-komunista.

[5]) „Do narodu polskiego należą ci obywatele Rzplitej, którzy się s a m i d o ń z a l i c z a j ą przy spisach ludności, b e z w z g l ę d u n a i c h w y z n a n i e i j ę z y k d o m o w y, oświadczają się za polskim językiem w szkołach, biorą udział w polskich stowarzyszeniach, związkach, spółkach“. („Państwo narodowe“ str. 175).

[6]) „Państwo narodowe“ str. 162.

[7]) „Państwo narodowe“, str. 156 — 157.

DROBIAZGI AMERYKAŃSKIE

U SCHYŁKU WIEKU MŁODZIEŃCZEGO

MORALNA i materjalna inwazja Ameryki daje się starej Europie odczuwać ze szczególną siła po wojnie, kiedy wiele przyczyn złożyło się na zmniejszenie naszej odporności na czar dolara i uległość wobec jego sług. Inwazja ta, oprócz potęgi finansowej, ma za sobą świeży rozmach młodych barbarzyńców, przed którym Europa cofa się onieśmielona tembardziej, że i u nas do większego, a często decydującego głosu doszły warstwy surowsze, którym bogata Ameryka łatwiej imponuje. Na jak długo starczy Ameryce tego rozmachu? Sprawa ta zaczyna interesować samych Amerykanów.

W bieżącym roku ma się odbyć kolejny spis ludności w Stanach, przyczem kwestjonarjusze spisowe znacznie rozszerzono, dodając liczne rubryki, mające dać szczegółowy obraz stanu społeczeństwa, zwłaszcza pod gospodarczym kątem widzenia ujętego. Będzie to niewątpliwie bardzo interesujące, jednak na podstawie już dziś posiadanych cyfr demografowie amerykańscy starają się zbudować wykres rozwoju i struktury społeczeństwa. Ostatnio pp. W. S. Thompson i P. K. Whelpton, wybitni specjaliści w tej materji, ogłosili rozprawkę p. t. „Powstający naród ludzi starszych", której konkluzje zainteresują niewątpliwie naszych czytelników.

Autorowie amerykańscy przypominają, że według pierwszego spisu ludności, dokonanego w 1790 r., Stany liczyły 3.929.214 mieszkańców; w 70 lat później, w r. 1860 liczba ta podniosła się do 31.000.000, czyli wzrosła ośmiokrotnie. W tym okresie siedemdziesięciu lat ludność Stanów zdwajała się co 23 lata. Obecnie upływa drugi okres siedemdziesięcioletni i spis obecny wykaże prawdopodobnie ludność sięgającą 120 miljonów. A więc w tem drugiem siedemdziesięcioleciu wzrost ludności był tylko czterokrotny, t. zn. dwa razy mniejszy, niż w poprzedniem. A jak będzie w przyszłości?

Autorowie, po szczegółowej analizie cyfr, tyczących się liczby urodzeń i zgonów, oraz tendencyj, jakie te cyfry wykazują, dochodzą do przekonania, że w trzeciem siedemdziesięcioleciu, t. zn. do r. 2.000 ludność Stanów nie wzrośnie więcej, niż do 185 miljonów, a prawdopodobnie już przed końcem tego okresu przestanie wogóle wzrastać. Z tego wynika konkluzja, że w nadchodzących latach utrzymanie dotychczasowego tempa gospodarczego rozwoju staje pod znakiem zapytania. Obok kolosalnych bogactw naturalnych głównym czynnikiem t. zw. „amerykańskiego" rozwoju był nieustanny i nader szybki wzrost ludności, stwarzający nieograniczone możliwości w wyzyskaniu olbrzymich, dziewiczych obszarów. Obszary nie są jeszcze przesycone, warunki dalszego szybkiego rozwoju istnieją nadal, ale ludzi już na takie tempo nie starczy.

Ogromne zmiejszanie się liczby narodzin (przy stosunku liczby urodzin do śmierci, jaki był w r. 1928, ludność biała stanów Nowy Jork, Connecticut, Massachusetts, pozostawiona samej sobie nietylko nie wzrosłaby, lecz zmniejszyłaby się w ciagu stulecia o 31%, a biała ludność 11 większych miast zmniejszyłaby się nawet o 40%) wpływa nietylko na spadek przyrostu naturalnego, lecz **zmienia zasadniczo strukturę społeczeństwa.** W ubiegłych okresach społeczeństwo amerykańskie było wybitnie „młode" w dosłownem znaczeniu, t. zn. przeważała w niem ludność młoda. W roku 1860, w przededniu wybuchu wojny cywilnej, na każdych 100 mieszkańców było 51 młodzieży poniżej 20 lat, 40 osób między 20 i 49 rokiem życia, a tylko 9 starszych nad 50. W roku 1920 obraz już się zmienił: na 100 osób jest już tylko 40 poniżej 20 lat, 44 w wieku 20 — 49 lat i aż 16 powyżej pięćdziesiątki. A jeżeli tak dalej pójdzie, to w roku 1975 będzie młodzieży tylko 31, w sile wieku 20 — 49 lat — 43, a starych ponad 50 — aż 26.. Jednem słowem społeczność Stanów Zjednoczonych starzeje się i w szybkiem tempie zdąża do tej struktury, jaką mają społeczeństwa Europy zachodniej: Francja, Anglja.

Dlatego to rozprawka, z której czerpiemy te dane, mówi w tytule o powstającym narodzie „starszych panów". Zmiana struktury na starszą musi wywołać zmniejszenie się tego młodzieńczego rozmachu, jaki cechuje obecnie życie Ameryki. Musi nastąpić pewien kwietyzm, jaki obserwujemy zwłaszcza we Francji i Anglji. I w Ameryce niedorosłe młokosy, mające dziś często w swojem ręku kierownictwo ogromnych przedsiębiorstw, zaczną się niebawem skarżyć, że starzy trzymają wszystko w rękach, że młody niema pola do pokazania, co umie i t. d.

Czy z tego odrazu wynika, że amerykańskie „niebezpieczeństwo" minęło? No, tak dobrze jeszcze nie jest. Jeszcze przez życie jednego pokolenia będą Amerykanie od nas naogół młodsi, a przez taki kawał czasu wiele się może zdarzyć.

POSZUKIWANIE PRZODKÓW

Stara anegdota opowiada o tem, jak Amerykanin splantował Francuza, dworującego sobie z plebejskiego pochodzenia jankesów. Gdy Francuz ów zapytał, czy to prawda, że każdy Amerykanin, mając wolny czas w niedzielę popołudniu, spędza go na dociekaniach, kto też mógł być jego dziadkiem—Amerykanin odpowiedział, że tak jest, ale Francuzi pod tym względem „wzięli" Amerykanów, gdyż Francuz tyleż czasu poświęca nieraz na dochodzenie, kto też mógł być jego ojcem... Francuz z anegdoty miałby dzisiaj o tyle rację, że dociekania genealogiczne doszły w Stanach do niesłychanej popularności, a rodowody, jakie sobie fundują znakomitsi obywatele wielkiej demokracji zamorskiej, nie ustępują w swej fantastyczności najlepszym tego rodzaju produktom pseudo-heraldyki europejskiej z siedemnastego wieku. Tak to słabostki ludzkie wszędzie dochodzą do głosu, tylko w postępowej Ameryce o kilka wieków później, niż w zacofanej Europie.

Liczba organizacyj i stowarzyszeń heraldycznych, jeżeli je można tak nazwać, jest dziś w Stanach Zjedn. zastanawiająco wielka. Prawie każde większe miasto posiada co najmniej jedną taką organizację, a niektóre z nich liczą setki tysięcy członków. I nie można powiedzieć, żeby ci republikanie byli bardzo skromni w swoich pretensjach: tak np. „Narodowe Towarzystwo Amerykanów Królewskiego Pochodzenia" ma bardzo wielu członków, aczkolwiek statut wymaga, żeby drzewo genealogiczne

każdego było podpisane przez zawodowego heraldyka... Tych specjalistów namnożyło się bez liku, i wszyscy robią, jeżeli nie fortuny, to w każdym razie dobre interesy. Jeden z miesięczników, wydawany przez przedsiębiorczych ludzi, „*Magazine of American Genealogy*“, zachęcał czytelników do używania herbów, „gdyż w Stanach nie istnieją żadne prawa co do tego, zaś angielskie prawo primogenitury jest tu oczywiście nie ważne, więc każdy, kto się doszuka w swym rodowodzie herbowego przodka, może herbu używać“. To wezwanie miało tak wielkie powodzenie, że redakcja była na długi czas zawalona pracą wyszukiwania owych przedków, zgóry można dodać, że nie bezowocną i nie bezinteresowną.

Nawet w mieście mormonów nad Słonem Jeziorem powstało towarzystwo genealogiczne, i to już w r. 1893, i kto wie, czy nie ustanowiło rekordu co do starożytności rodowodów przezeń ułożonych. Są tam bowiem filjacje, idące nieprzerwanie aż do Józefa z Arymatei, Karola Wielkiego, Alfreda Wielkiego, Ruryka, króla Leara, św. Anny... W r. 1874 wydano w Stanach 500 książek i broszur genealogicznych, dziś wydawnictwa te stanowią bardzo poważny odsetek ogólnej liczby wydawnictw. I każdy prawie wybitniejszy obywatel Stanów zaopatrzony jest już w bardzo zacny rodowód. Calvin Coolidge pochodzi, jak się okazuje, od Karola Wielkiego, Hoover jest królewskim potomkiem tylko po kądzieli: pochodzi przez kobiety od króla Szkocji Dawida I. Ten Dawid ma wielu potomków w Stanach, zalicza się do nich J. Pierpont Morgan, i autor tych zadziwiających rodowodów dr. Jordan; król naftowy J. D. Rockefeller ma za przodka Henryka I. króla Francji. Może dlatego ofiarował znaczne sumy na odnowienie pałacu wersalskiego?

TRESOWANY GORYL

Podczas gdy zawodowi genealodzy fabrykują masowo dowody królewskiego pochodzenia dla szefów przeróżnych gałęzi produkcji, system przemysłowy, wynaleziony w Ameryce, przygotowuje dla tych królów masy wiernych i posłusznych poddanych:

„Z konieczności, pisał H. Ford, praca poszczególnego robotnika musi polegać na powtarzaniu tych samych czynności — tylko w ten sposób może on osiągnąć szybkość bez wysiłku, dającą niski koszt towaru i wysokie płace zarobkowe. Niektóre z naszych zajęć są niezwykle monotonne, lecz wielu ludzi ma umysły również monotonne. Wielu chce zarabiać na utrzymanie, nie myśląc, i dla nich zajęcie, nie wymagające pracy mózgowej, jest poprostu gratką“. Z drugiej strony twórca systemu pracy, opartego na posuniętym do ostatnich granic podziale pracy, Fred. Taylor napisał gdzieś, że „ideał sprawności w przemyśle polega na takiem uproszczeniu pracy, żeby ją mógł wykonywać nawet tresowany goryl“.

Rezultaty stosowania tych maksym nie okazały się oczywiście odrazu, ale teraz zaczynają już być widoczne. System, jak się okazuje, nietylko jest gratką dla ociężałych umysłowo i nie lubiących myśleć, co przewidział Ford, ale również, czego może nie przewidywał, stanowi wielkie laboratorjum, w którem masy zaprawiają się do bezmyślności, przenoszonej potem poza obręb fabryki i pracy zawodowej na teren życia społecznego. Oto co pisze prof. Rowland A. Egger, redaktor poważnego organu samorządowego:

„Jest on (robotnik przy tym systemie pracy) zudełnie odcięty od przedmiotu swej produkcji. Stał się dosłownie tylko kółkiem w maszynie. Jest na łasce sił ekonomicznych, nad któremi nie ma żadnej władzy, których nawet nie rozumie. Czy takie otoczenie i stan umysłu może sprzyjać rozwojowi odpowiedzialności społecznej, tej najistotniejszej cechy czynnej opinji publicznej? Czy możemy się dziwić, że pracownik spędza swój wolny czas w pogoni za podnietami, które dają mu wytchnienie po monotonji i nudnym trudzie jego pracy zarobkowej? Czy istnieje jakiś powód, który pociągałby robotnika po pracy do zastanawiania się nad sprawami państwa?

Jak się zdaje, demokracja i polityka nie dają tych wstrząśnień, które są konieczne do przywrócenia równowagi psychicznej po zmęczeniu monotonją pracy. Natomiast wódka, *jazz*, szybkość (samochód, dają te konieczne środki nerwowe... Pośród ciągłego poszukiwania wytchnienia od monotonji, i niemożności rozwinięcia w sobie poczucia solidarności i odpowiedzialności społecznej — zaginęła bezpowrotnie możliwość wytworzenia się opinji publicznej. Fabryka i biuro postawiły robotnika i urzędnika w takie warunki, że stracili oni możność myślenia i reagowania na wszystko, co nie jest podnietą zmysłową. Niema na to czasu, a co gorsza zaginęła skłonność zajmowania się polityką i innemi imponderabiljami ustroju społecznego“.

Cytowany autor uważa stan ten za groźny przedewszystkiem dla ustroju demokratycznego, uważa go za grunt, na którym wyrość może system dyktatury, niewiadomo czyjej. Można te obawy rozszerzyć. Ogłupione przez niewymagającą myślenia pracę masy ludzkie będą stadem nietylko politycznie potulnem, ale dadzą niewątpliwie początek nowej rasie „gorylów tresowanych“.

ZYGMUNT RACZKOWSKI

TOŁSTOJ — SIENKIEWICZ — AŁDANOW

Z CHAOSU, w jakim się znalazła powojenna literatura piękna, powoli zaczynają się wyłaniać jakieś konkretne formy: a więc uniwersalizm, o który kruszono niedawno kopje, odradzający się mistycyzm religijny, psychologizm w powieści, pozostający pod wpływem freudyzmu. Możemy też zauważyć odrodzenie powieści historycznej. Ten gatunek literacki, tak często skazywany na zagładę, wciąż przywraca sobie należne w piśmiennictwie prawa.

Dzisiaj stara forma powieści historycznej, forma Flauberta, Sienkiewicza czy Ebersa, jest w pogardzie. Ale w ukryciu kształcą się nowe formy, które mogą lada dzień zdobyć dla powieści historycznej to stanowisko w literaturze światowej, jakie jej zdobył niegdyś „Wawerley“, a w kilkadziesiąt lat później „*Quo vadis*“. Nieraz nawet się zdarza, że powieść historyczna, starej formy się trzymająca, zdobywa sobie uznanie, jak się to dzieje np. z „Krystyną, córką Lawransa“ Sygrydy

Undset, czy u nas w Polsce specjalnie ze „Złotą wolnością”, która ma opinję najlepszej powieści polskiej lat ostatnich. Niebawem i nowe formy zdobędą sobie uznanie. Wywodzą się one nie ze sklepu antykwarskiego Walter-Scotta, nie z kinematograficznej dynamiki Dumasa, nie z pracowni fotograficznej Flauberta i nawet nie z popularnej historjozofji Tołstoja. Przyjdą one całkiem skądinąd.

Najmodniejszym obecnie gatunkiem powieści, zahaczającym tyleż o literaturę piękną, ile o historję, jest „żywot romansowy” *(la vie romancée)*. Można dyskutować, co to właściwie jest: powieść historyczna czy monografja? Historja literatury osądzi, czy „Lenin” lub „*Kaiser Karl*“ Ludwiga i wogóle wszystkie, popularyzowane przez wydawnictwo „Renaissance”, „Żywoty” należą do literatury pięknej, czy nie. Faktem jest, że jeżeli chodzi o chwilę ostatnią, współczesną, powieść historyczna—to „żywot romansowy”. Ale czy ten rodzaj literacki zachowa to stanowisko, jakie zajmuje teraz? Czy nie podniosą się głosy te same, które odmawiały poematom epickim autorów polskich XVII w. (np. Twardowski) nazwy poematów, powiadając, że to jest tylko... kronika wierszowana? Czy nie spotka ich smutny los z taką sumiennością stworzonych powieści Kraszewskiego, całość dziejów Polski obejmujących?

O ile nie nastąpi reakcja, powieści historycznej grozi zagłada, przepowiadana jeszcze przez Goethego i Zolę, jako gatunkowi, który jest „potworną kombinacją poezji i historji”, „który obniża sztukę i wypacza dzieje”. Powieść historyczna wogóle zniknie z widowni dziejów piśmiennictwa: żywoty romansowe w stylu utworów Ludwiga lub nawet „Cudownych żywotów Balzaca” i „Życia Shelleya” będą zamieszczone w skarbnicy historji, jako interesująco pisane monografje; inne, jak np. „Żywot pani du Barry” lub nawet Wołoszynowskiego „Słowacki” pójdą na zawsze w zapomnienie, jak jakaś zwyczajna ramota. Tak, jak minął w dziejach literatury okres wielkich, skandowanych niegdyś eposów, minie i powieść historyczna...

Na szczęście reakcja już jest, a zjawia się stamtąd, skądby najmniej należało się jej spodziewać. W piśmiennictwie, które właściwie niema swojej nazwy, niema gruntu, na którymby powstawało, objawiają się pierwsze symptomy owej reakcji. Mówię tu o rosyjskiej literaturze emigracyjnej. Nie jest to literatura ogniska rosyjskiego, bo do tej ma pretensję piśmiennictwo sowieckie; niema ta literatura wogóle swej gleby, bo powstaje wszędzie: pod zwrotnikami, nad Atlantykiem, w wielkich stolicach europejskich, w Mandżurji... Nie mam na myśli całej, tak płodnej literatury emigracyjnej patrjotycznej, tworzącej powieść historyczną „dla pokrzepienia serc”; nie chodzi mi o Krasnowa i Nażywina, piszących „Z nami Bóg”, by przypomnieć Rosjanom lata chwały w początku w. XIX, lub „Rasputina”, pouczającego, dlaczego doszło do katastrofy. Mówię o tetralogji Marka Ałdanowa p. t. „Myśliciel”, obejmującej cztery powieści: „Dziewiąty termidora”, „Most czartowy”, „Spisek” i „Święta Helena — mała wyspa”.

Można bez obawy posądzenia o przesadę i skłonność do używania superlatywów twierdzić, że wydanie tych powieści stanowi nową epokę w dziejach powieści historycznej, a więc i w dziejach literatury pięknej wogóle. Na emigracji rosyjskiej książki te stanowią jądro lektury; na zachodzie Europy przetłumaczono już je podobno wszystkie na szereg języków; w Polsce dotychczas zadowolono się jedynym (i to nieszczególnym) przekładem „Małej wyspy”, wydanym nakładem... bibljoteki dziewięćdziesięciopięciogroszowej!

Pomijając względy czysto polityczne, moglibyśmy odczuwać pewną dumę rasową: początek odrodzenia powieści historycznej przypadł w udziale jednej z literatur słowiańskich. Wogóle, co się tyczy powieści historycznej, ma ona dużo literaturom słowiańskim do zawdzięczenia (mówię tu przedewszystkiem o literaturach polskiej i rosyjskiej, jako tych, co najsilniejszy mają związek z literaturą wszechświatową). Wprawdzie Anglikom i Francuzom zawdzięczamy powstanie powieści historycznej (w jej właściwem, nowoczesnem pojęciu) i pierwsze jej kroki, ale udoskonalenie i wzniesienie tego gatunku na wyżyny sztuki przypadło w udziale słowianom. Gdyby się zrobiło przegląd lektury współczesnej, to nietrudno byłoby stwierdzić, że Waltera Scotta czytają tylko specjalni amatorzy, i to opuszczając często dziesiątki stron; wiele podręczników literatury wstydzi się umieścić Dumasa (ojca) na swych kartach, uważając jego powieści za lekturę tego typu, co wielotomowe „Przygody Rocambola“ Ponson du Turraille'a lub romanse Cooper'a czy Mayne-Read'a. A któż czyta „Salammbo”? Językoznawcy, którym głównie chodzi o skarby stylu, w tem dziele zawarte, lub zagorzali historycy, szperający, czy nie znajdą czasem jakiego szczególiku, coby zadał kłam twierdzeniom, iż pod względem zgodności z prawdą historyczną, powieść ta jest bez zarzutu... Ale sienkiewiczowską „Trylogję” z rozkoszą wertują i tacy, co uważają za swój obowiązek, jak nosiciele „postępu”, atakować publicznie jej autora; „*Quo vadis*“ od kilkudziesięciu już lat jest głównem i często jedynem narzędziem propagandy kultury polskiej zagranicą, co dowodzi wielkiej jego poczytności. „Wojna i pokój“ Tołstoja po 60 latach żywota, wciąż święci triumfy, co nie trudno wykazać na przykładzie, choćby takim, jak powodzenie nowego polskiego wydania dzieł tego autora, czy też przygotowanie jeszcze jednego wydania przez Gutenberga.

Literatura polska wydała Korzeniowskich, Rzewuskich, Kraszewskich, Kaczkowskich, Jeske-Choińskich, ale obok Sienkiewicza, w oczach ludzi dzisiejszych, godnie zająć miejsce mogą tylko „Popioły“. W Rosji też się moc napłodziło powieściopisarzy historycznych, a wśród nich były takie wielkości, jak Mereżkowskij. Ale do skarbnicy wszechświatowej literatury pięknej przejdą stamtąd ze starszych, autor „Wojny i pokoju“, a z nowszych bodaj tylko Marek Aleksandrowicz Ałdanow, jeszcze niedoceniony i mało znany.

Powieść historyczna, czyli ściślej mówiąc, romans historyczny, szedł drogą rozwoju od Waltera Scotta przez Dumas'a, Flaubert'a, Tołstoja do Sienkiewicza, a ostatnio do Ałdanowa. Wyżej staraliśmy się wskazać, że gwiazda trzech pierwszych zbladła. Pozostało trzech: Tołstoj—Sienkiewicz—Ałdanow—trzech słowian, w słowiańskich językach piszących...

Wszyscy trzej mają zasadniczą wspólną cechę: gatunek ten, powieść historyczną, doprowadzili do mistrzostwa, postawili go na szczycie piśmiennictwa bądź to swego narodu, bądź swej epoki. Ale poza tem wszystko inne ich różni. I co najciekawsze, na dwuch przeciwległych biegunach stoi dwu Rosjan.

Każdy z nich zastał powieść historyczną w stanie dalekim od owego, który zastał i zaczął pierwszy uprawiać Walter Scott. Przeciwnie, jako rodzaj literacki, romans historyczny był uważany za przeżytek, za zachwaszczony, niegdyś piękny ogród—i musieli, by go ożywić, w nowe go przystroić kształty, nowego wcielić weń ducha. Powodzenie największe u najszerszych warstw czytelniczych znalazł Sienkiewicz; krytyka przyznawała niekiedy pierwszeństwo Tołstojowi, jako głębszemu rzekomo myślicielowi i niemal mu równemu artyście. Ałdanow jeszcze zbyt mało jest znany.

Zarówno Tołstoj, jak Sienkiewicz tworzyli swe powieści historyczne w warunkach najnieprzyjaźniejszych. Nie ufano im, wytykano, że powzięli zamiar ponad siły... wyniki przeszły wszelkie oczekiwania, najśmielsze nadzieje. Ałdanow również wziął się do roboty cicho. Niektórzy krytycy (jak np. książe Mirski, który wydał po angielsku literaturę rosyjską czasów ostatnich) przyjęli utwory jego z nieufnością, nie rozumiejąc, czego właściwie chce. Na emigracji rosyjskiej popularna jest opinja, że właściwie rewolucja francuska, opisywana przez Ałdanowa, to zręcznie pod obcą szatą ukryta rewolucja rosyjska. Być może, ale jeszcze nikt nigdy nie odmalował rewolucji francuskiej tak, jak Ałdanow w tej rzekomo sztucznej formie... Cała zgroza, cała potworność terroru, dzikość, cynizm czy fanatyzm przywódców; powolne ucichanie burzy, co się wciąż zrywała, by wybuchnąć na nowo, aż wreszcie się uspokoiła i ucichła zupełnie pod stopą genjalnego kapitana artylerji; wreszcie upadek tego kolosa, nie w swym przebiegu, w tymczasowym, jak się mogło zdawać, ale ostatecznym wyniku opisany — oto treść tej tetralogji. Równolegle dla kontrastu przedstawiona jest Rosja nowoczesna: śmierć Katarzyny i krótkie, ale nie osłabiające ani na chwilę dramatycznego napięcia, dzieje panowania Pawła, genjalnego manjaka, czy skretyniałego okrutnika...

Tło we wszystkich utworach trzech powieściopisarzy bardzo szerokie: ale krąg zainteresowań całkiem inny, można powiedzieć, coraz to węższy. Tołstoja interesuje cała ludzkość, jej rola w dziejach, jej stosunek do historji; Sienkiewicza obchodzą głównie losy jego narodu lub (w „*Quo vadis*") pewnego społeczeństwa, pewnej religji (nie na całym jednak obszarze jej dziejów, tylko w pewnym okresie). Ałdanow zaś zajmuje się pojedynczym człowiekiem.

Widzimy więc, że krąg coraz to węższy, ale zato szczegóły coraz to wyrazistsze. W kreśleniu postaci dziejowych nikt nigdy nie dorównał Ałdanowowi. Tołstoj jest przedewszystkiem filozofem. W „Wojnie i pokoju" stara się uzasadnić swą teorję, że historję tworzą masy, że wielkie i genjalne, uznane za opatrznościowe, jednostki są niczem... Dlatego też Napoleon jego pozbawiony jest wszelkich cech nadczłowieczeństwa. Tołstoj chciał go przedstawić, jako zwykłego człowieka, jakich miljony, ale właśnie dlatego, mimo całą swą genjalną intuicję, mimo wysokie poczucie artyzmu, popełnił błąd: Napoleon, odarty z legendy, która go otaczała, odarty doszczętnie nie mógł się stać zwyczajnym człowiekiem wprost tylko dlatego, że zwyczajnym nie był: to też w romansie zakrawa trochę na karykaturę.

Wprost na przeciwległym biegunie stoi Ałdanow. Jest on dziecięciem swego czasu: i na niego wywarła wpływ moda „żywota romansowego". Ale jake rzeczywiście wielki i niezależny talent, potrafił odrzucić to, co uważał za balast, a wziąć tylko rzecz zasadniczą: do powieści swych przeniósł z „żywota romansowego" c z ł o w i e k a-j e d n o s t k ę, jako główny przedmiot zainteresowań. Nie wyodrębnił go od reszty świata, nie pisał jego biografji; powieść jego roi się od żywych historycznych ludzi. Ale każdy z nich to świat odrębny, świat, tający w sobie szczyty i przepaście, których dotychczas często nikt nie dostrzegł. I z walki, z zetknięcia się tych światów tworzy się historja.

Swoją skończonością artystyczną, umiejętnością idealnego niemal, umiarowego oddalenia rzeczy wielkich, a przybliżenia małych, by je na jednym poziomie postawić i w ten sposób czytelnikowi łatwiej dać do oceny—przypominają utwory Ałdanowa tragedje klasyczne. Tam bogowie schodzili z niebios między śmiertelnych i ukazywali się oczom widza, jak i ludzie, a z drugiej strony skłonności ludzkie wyolbrzymiano do rozmiarów, ogarniających wszechbyt; tu mamy Kanta, wielkiego, nieśmiertelnego uczonego, jeden z największych umysłów świata, przedstawionego w życiu prywatnem, jako niezaradnego, niedołężnego niemal staruszka. Dzięki olbrzymiemu talentowi autora postać ta wskutek takiej metamorfozy wcale nie staje się śmieszną, jakby się należało spodziewać; przeciwnie jest on tu bardziej ludzki, a przez to tem więcej się go ocenia i korzy przed ogromem jego genjuszu, gdy się widzi, że przecież taki on człowiek, jak inni.

Nawet w budowie zewnętrznej jest coś, co przypomina tragedję klasyczną. Jak tam chór był komentatorem całej akcji, tak i tu kreśli Ałdanow z drobiazgową niemal dokładnością postać przeciętnego człowieka, oficera rosyjskiego Stahla, który jest jakby typem i modelem wszystkiego, co w Europie, a w Rosji szczególnie w końcu XVIII wieku się robiło, myślało i czuło... Krytyka napadała na Ałdanowa za ten typ zbyt szary, a dlatego tak obniżający wszystko, do czego się tylko dotknie. Stahl—to przeciętny człowiek, taki, z których się przeważnie składa ludzkość, to symbol masy, która, według Tołstoja, ma tworzyć dzieje...

Stahlowi i jego dopełnieniu Iwanczukowi przeciwstawia Ałdanow jednostki wielkie, wybitne, takie, co rzeczywiście dźwigają historję świata na swych barkach, pchają ją naprzód. Kreśli je bądź bardziej szczegółowo, jak np. Napoleon, Talleyrand, Paweł I, von Pahlen, Robespierre, lub też jednym rzutem, ale tak, jakby dłutem Michała Anioła, a więc Danton, żyrondyści...

W porównaniu z Sienkiewiczem Ałdanow okazuje się wyższy, jako powieściopisarz h i s t o r y c z n y; ustępuje mu, jako poeta. Ani język jego, ani styl nie jest tak wyszukany, a zarazem tak doskonały i prosty, jak u polskiego powieściopisarza. Postacie historyczne tworzył z większym talentem, choć też trzeba przyznać, że Sienkiewiczowi, który szedł w ślady Waltera Scotta, na tych rzeczywistych, historycznych ludziach tyle nie zależało. Chciał przedewszystkiem oddać ducha swego narodu i szukał go, jak i Tołstoj, nie u tych największych, ale w szarej masie, w której wybierał dowolnie pewne postacie, rzucał na nie snop światła i w ten sposób stawiał przed oczy czytelnika. Również jako malarz przewyższa Sienkiewicz obydwu Rosjan, ale Ałdanow, mający wprost niesłychany zmysł dramatyczny, umie w swe obrazy tchnąć więcej

życia i przykuć do siebie bardziej napięcie czytelnika. Piękna jest uczta Radziwiłła, wspaniały pożar Rzymu, a szczególnie walka Ursusa z turem; ale z punktu malarskiego scena posiedzenia Konwentu w dniu 9 termidora u Ałdanowa swoją dramatycznością przechodzi wszystkie bodaj obrazy sienkiewiczowskie, więcej w niej jest życia i prawdy. Ryzykowny pomysł, by odtworzyć to znamienne w dziejach Francji zebranie nie opisem epickim, ale tak, jak je widział i odczuwał człowiek, któremu się chce strasznie spać i którego co chwila budzą potworne ryki tłumu, udał się znakomicie. Już za tę jedną scenę należy się Ałdanowowi sława znakomitego pisarza.

Tak ważne w literaturze pięknej zagadnienie erotyzmu Tołstoj traktuje na równi z innemi zagadnieniami społecznemi. Co się tyczy Sienkiewicza, to zdaje się, przy nowszych badaniach, niema już dwu zdań: erotyzm, podporządkowany innym, wyższym siłom w „Ogniem i mieczem", wybucha już w „Potopie" zarzewiem, co gasi niemal wszystko, i coraz bardziej staje się *„spiritus movens"* utworów Sienkiewicza. Ale ma on wyidealizowane pojęcie miłości mężczyzny do kobiety, wskutek czego erotyzm, odgrywający w utworach jego rolę nie mniejszą, niż u naturalistów francuskich, doprowadza do konsekwencyj wręcz przeciwnych. Ałdanow niema różowych szkieł, patrząc na miłość. Dla niego jest to zagadnienie w równej mierze fizjologiczne, jak duchowe. On nad niem nie filozofuje. Istnieje pociąg mężczyzny do kobiety, i odwrotnie, i dość na tem. Jest to rzecz najbardziej prywatna: jakże znikome i małoważne wydają się sprawy miłosne Stahla, Iwanczuka czy wielkiego księcia Aleksandra lub cara Pawła, wobec wielkich dramatów dziejowych, co się wokoło nich odgrywają! Autor patrzy na przeżycia miłosne z wyżyny tych tragedyj historycznych i każe tak na nie patrzeć czytelnikowi: widziane z takiej wysokości wydają się takiemi małemi, takiemi przez to śmiesznemi, że wprost nie przychodzi do głowy zastanawiać się nad niemi dłużej i przechodzi się nad niemi do porządku.

W jednem tylko miejscu Ałdanow poszedł po innej linji: oto wrogowie Robespierre'a szykują nań zamach i chcą pozyskać dla siebie dantonistę Tallien'a, co im się udaje, bo kochanka tegoż zamknięta jest w więzieniu i z rozkazu Robespierre'a ma pójść na gilotynę. Tallien wie, że jeżeli Robespierre nie upadnie, kobieta, którą kocha, zginie, to też gotów jest na wszystko, by ją uratować. Następuje decydujący dzień: jeden z głównych spiskowców Barrère ma przemawiać, ale się rozmyśla, bo wie, że oślepiony namiętnością Tallien potrafi dokonać cudów, czego nie zrobi jego, na argumentach rozumowych oparta mowa. Tak się też stało: Tallien wyszedł na trybunę, rzucał się i ciskał słowa bezsensowne, bez związku, nie mające nic wspólnego z zarzutami, które czynili Robespierre'owi przeciwnicy, ale mimo to „Barrère czuł szóstym zmysłem, że Tallien gubi Robespierre'a"... Mową swą, tchnącą namiętnością i ziejącą nienawiścią, wynikłą z pobudek osobistych, Tallien porwał konwent i zgubił Robespierre'a. Gdyby nie kochanka Tallien'a, losy Francji, a więc i świata całego poszłyby może innym torem...

Ałdanow pisał swe powieści w czasie, gdy badania naukowe Gassotte'a, Madeline'a i innych uczonych zburzyły legendę rewolucji francuskiej, a częściowo też burzą legendę napoleońską. Ale Ałdanow jest prawdziwym poetą i artystą: głęboką swą erudycję czerpał w znacznej mierze z dzieł burzycieli dziejowej legendy, ale talent i intuicja kazały mu, obnażając całą prawdę historyczną, uczynić tę legendę jeszcze wspanialszą, jeszcze bardziej ponętną, mimo świstu spadającego noża gilotyny, mimo zapachu zakrzepłej krwi, mimo zwykłych ludzkich instynktów bohaterów rewolucji.

Ałdanow potrafił wchłonąć w siebie cały dorobek literacki na polu powieści historycznej od Waltera Scotta do czasów ostatnich, przezwyciężyć go i stworzyć nowe, całkiem oryginalne arcydzieła.

Lwów TEODOR PARNICKI

DO KRÓLA

Jeszcze nie pora, Najjaśniejszy Panie,
Na ślubowanie, na koronowanie,
Jeszcze skarb twojej korony
W zbójeckiej skrzyni zamkniony!
Niedosyć się wilki najadły,
Niedosyć napasły rysie.
Lecz oczom już widny, śni się
Dzień bliski — acz nieodgadły,
Gdy cała nędza i brud
Pójdzie, jak kamień, na spód!

Jeszcze ćma sępów i wron,
Plugawi twój orli tron,
Jeszcze cię może samego
Matka nie urodziła.
Lecz serca cię nasze już strzegą,
Czci prawo — i czeka siła!

I wiemy, że wszystko się stanie,
Co stać się winno, — Najjaśniejszy Panie!

Lwów 1930 MARYLA WOLSKA

NA WIDOWNI

Rzecz o sercu jako centrali. — Koncert i medytacje. — Sztuka, religja i moralność. — Działanie i konkretność. — Społeczeństwo likwidujące jednostkę. — Specjalizacja społeczna prawa miłości. — Powrót do serca. — Człowiek całkowity jako pierwowzór cywilizacji tworzonej.

PEWNEGO popołudnia w marcu znalazłem się na koncercie dobroczynnym w Filharmonji. Koncert był nadspodziewanie piękny, bo i poziom artystyczny wysoki i atmosfera ciepła. Artyści — czuć to było — darzyli koncert szczególną sympatją, ale też talenty były niepospolite: p. Lucyna Robowska (fortepian), p. Zaleski z opery (baryton), p. Czapska z opery, Kochański Wacław (skrzypek), Marjusz Maszyński z teatru Polskiego (recytacje). Trudno o wspanialszy i sympatyczniejszy dobór artystów. Słowo wstępne wygłosił zawsze gotów do służby publicznej poeta St. Miłaszewski.

W przerwach odczytywałem dołączony do afisza druk: „Działalność Akademickiego Stow. charytatywnego Pomoc bliźniemu, pod wezwaniem św. Franciszka z Assyżu, za okres od 1. X. 1929 do 1. III. 1930 r.“ Koncert właśnie miał przysporzyć grosza tej instytucji. Bardzo mię zainteresował sam fakt, że działalność społeczną tego typu filantropijnego w imię zasad chrześcijańskich prowadzą akademicy. Za moich czasów szkolnych byłoby to nie do pomyślenia.

Stowarzyszenie powstało w r. 1929, dużą rolę odgrywają w niem koleżanki. Kolega Andrzej Ruszkowski jest prezesem, do zarządu wchodzą kol. Iwanicki i Rodowicz. Sekretarjat i skarb objęły koleżanki Lożanka i Sławińska. Członków czynnych w lutym r. b. było 107. Bilans za pięć miesięcy działalności zamknięto cyfrą 9.062 zł., wcale na początek pokaźną. Patronuje instytucji ks. rektor Szwejnic, który też jest jej kapelanem wespół z ks. Chróścickim.

Robota prowadzona jest sekcjami. Pierwsza z nich — opieki nad rodzinami (kol. W. Leszczyńska) opiekowała się 40 rodzinami (165 osób). Budżet miesięczny 1.150 zł. Druga sekcja, opieki nad dziećmi i młodzieżą (kol. Z. Kryńska) prowadzi 5 świetlic dla 250 dzieci od lat 4 do 14. Świeżo powstała sekcja pomocy doraźnej, pozatem czwarta sekcja dochodów niestałych (kol. Rodowicz) urządza gwiazdki, koncerty, loterje. Sekcja piąta, szwalni i szatni (kol. Bernhardówna) w ciągu tych 5 miesięcy rozdała dzieciom obdartym 450 ubrań, 100 par butów i t. p. Założyła teraz kursy zabawkarskie (kol. Chamcówna). Lalki z tej pracowni, sprzedawane przy wejściu na koncert, rozchwytali ludzie zamożni — bardzo były piękne. Zarząd odwołując się o poparcie do społeczeństwa i podając swój adres (Szopena 8 m. 5), dziękuje za dotychczasowe współdziałanie w ratowaniu nędzarzy warszawskich od niedoli materjalnej i moralnej.

Ta piękna kartka z życia Warszawy była sprawczynią ciepłej na koncercie atmosfery. Bo istotnie sztuka najlepiej przypada do duszy, kiedy człowiek jest sercem wzruszony. Odbierzcie sztuce miłość, a pozostanie bez wpływu na kulturę człowieka; usuńcie ją z życia społecznego — to zostanie zimny mechanizm, w którym nic nie zakwitnie twórczością, mającą jakiś zaród nieśmiertelności. W cywilizacji chrześcjańskiej miłość jest podstawą religji, która udziela swej duszy wszelkiemu tworzeniu.

Dlaczego w naszych czasach budzi trwogę mrok, robiący wrażenie, że nadchodzi zmierzch cywilizacji? Dlatego, że zredukowano pracę serca. A miłość w świecie tworzonym przez człowieka pełni rolę słońca. Nie zastąpi go światło elektryczne rozumu. Cywilizacja potrzebuje radjo-aktywności serca. Wszystko w niej tak z sercem związane, że niewiadomo, czy upadek religijności stał się przyczyną, że ono zastygło, czy też odwrotnie, brak serca pozbawił nas tęsknoty do życia wiecznego. Nie rozum jest przeciwny religji, ale oschłość serca.

Serce jest tutaj figurą retoryczną, skróconem określeniem życia uczuciowego, ale bardzo narzucającem się umysłowi. Każdy wie, że organizm nie żyłby, gdyby mu wyjąć serce, a uczucia wydają się czemś zbędnem. Tymczasem one są istotną częścią życia duchowego, dźwignią i motorem spraw ludzkich, które rozum tylko obsługuje. Życie uczuciowe jest odkrywcą celów idealistycznych i świata metafizycznego, ono też dostąpiło łaski Objawienia. A cywilizacja chrześcijańska, która je z całym tym aparatem metafizycznym w swój obrót włączyła, ma trwanie bezterminowe. Ginie cywilizacja zmaterjalizowana, gdy w niej dusza ludzka automatyzuje się i traci moc odradzania się przez miłość, która czyni z ofiary arcydzieło życia. Moralność w duchu chrześcjańskim jest twórcza, jak sztuka; cnota robi z człowieka artystę, kształtującego stylowo swoją duszę.

To też w takich skromnych działaniach, jak „Pomoc bliźniemu“ widzę objaw zdrowia moralnego w społeczeństwie, widzę tendencję ku odrodzeniu cywilizacji polskiej. Dwa są warunki renesansu: 1) działanie, 2) działanie konkretne. Wszelkie uczucie, dodatnie w zasadzie, bez wcielenia jest martwe, a nawet trujące. Miłość puszczona mimo działania na frazesy, marzenie, a co gorsza, na doktryny, automatyzuje się w próżni i wytruwa w człowieku wszystkie zarody twórczości.

Działanie tylko ma moc ustawiania jednostki frontem do życia pełnego. Ono daje jej wiarę w siły i w życie, porywa ją z sobą w przyszłość, pokonywa pesymizm i sceptycyzm. Zapomniany dziś myśliciel Guyau, upatrujący drogę moralności w życiu wytężonem i rozlewnem, dającem ujście pełni sił człowieka, przestrzegał przed załamaniem, które czeka moralność, unikającą rzeczy określonych, konkretnych dla mary służby powszechnej.

W pewnem miejscu Guyau mówi: „Chcieć czynić dobrze nie całej ludzkości i całemu światu, ale ludziom danym, ratować od nędzy istniejącej, ulżyć komuś ciężaru, cierpienia — oto są rzeczy, które zawieść nie mogą“. Dwa wyniki bowiem osiąga konkretność działania: objektywnie społeczny i subjektywnie budujący.

Taka „Pomoc bliźniemu“, jako symptomat, zasługuje na uwagę: jest przesunięciem wskazówki na konkretne działanie. Polak dawny sam stał się abstrakcją i żył abstrakcjami co łatwiejszemi. Sam nie wiedząc dla czego, dla tanich teoryj zgubił poczucie religijne; dzisiejsze pokolenie czuje konkretnie obecność Bożą i nie czuje się opuszczone. Póty głosił hasła romantycznego czynu bez względu na wyniki, aż zwątpił, albo dla byle doktryny oddał swoją miłość realną wzamian za uniwersalną na rzecz ludzkości, nawet poprostu na rzecz kogokolwiek, aby tylko nie swego narodu.

Patrzcie na szaleństwa tych niedobitków z epoki upadku, który obłąkał serca polskie na manowcach doktryny: dorwawszy się do wpływów, tępią polskość na kresach z taką manjacką uporczywością, jakiej nie znały Murawjewy. Pomyliły się im przedmioty miłości ze wzgardy dla bliskiego konkretu. Właściwie nie kochają i obcych z owej ludzkości, tylko im doktryna rzuciła się na serce i demonstrują w ten sposób swoje monstrum duchowe. Ciż są, którzy nie widzą miejsca w życiu na religję, a tym, co kochają Polskę kontretną, zarzucają miłość narodu jako hańbę. Niemasz więc miejsca i na miłość. Oniby chcieli tworzyć sztukę, zakładać akademję literatury. Skądże bez miłości i bez wcielania dążeń metafizycznych można tworzyć cokolwiek, co nie jest do jedzenia?

W tym stanie ducha elementarne ścieżki życia osobistego plączą się po bezdrożach amoralności i bezprawia. Gdzież miejsce na piękno, gdy go niema dla prawdy i dobra?

Nowe pokolenie bierze się do rzeczy od początku i to do rzeczy konkretnych. Odezwał się w niem instynkt, który poucza, że tworzenie trzeba zacząć od siebie, mianowicie, że trzeba naprzód z siebie zrobić twór kompletny, mogący działać centralnie. Masz ukochać wielkie rzeczy? Ale czy ty masz wogóle serce? — pytają dzisiejszego człowieka i siebie samego. Miłosierdzie! Słyszał kto to słowo ze swego życia? Cnoty przełożyliśmy z ludzi na społeczeństwo, ono więc porobiło wydziały, które biurokratycznie obowiązki spełniają. Jednostka płaci podatek, rzeczą jest społeczeństwa spełniać także i dzieło miłosierdzia. Jednostka zarobkuje, spekuluje, zresztą używa. Polityka narodowa? Od niej są specjaliści: wybiera się posłów, zresztą jest państwo od tego, aby obywatel był wolny od troski — na to płaci podatki!

Nie trzeba szukać dowodów w życiu publicznem. Weźmy stosunek do dziecka. Wychowanie? Od niego jest szkoła — pedagodzy za nie odpowiadają. Może domowe? Ależ są przedszkola! Matka nie zna się już na dziecku. Straciła swój centralny w domu charakter, który ją czynił i wychowawczynią i lekarką, instynktem serca wnikająca i w duszę i w ciało dziecka. Niechże dziecko dostanie kataru, matka nie wie, co z tem robić: od tego jest lekarz. I tak wszystko rozlazło się po specjalnościach, wszystko rozbiło się na społeczeństwo, podziałem pracy i kłopotów żyjące — aby tylko jednostka była wolna, od wszystkiego wykupiona pieniądzem. Człowiek zdecentralizowany spostrzega teraz, że jego osobista centrala — serce — jest organem zbędnym, wyszło z użycia. Bo nieprawdą jest, aby fachem serca była miłość erotyczna. Serce zwolnione od innych dróg miłości, powinnoby teraz znaleźć ujście erotyczne i tworzyć cuda poezji w tej dziedzinie życia. Nieprawda! „Niema tak dobrze“ — jak się dzisiaj mówi. A kilkaset lat temu poeta Sęp-Szarzyński wykładał:

Miłość jest własny bieg bycia naszego,
Ale z żywiołów utworzone ciało,
To chwaląc, co zna początku równego,

Zawodzi duszę, której wszystko mało,
Gdy Ciebie — wiecznej i prawej piękności —
Samej nie widzi, celu swej miłości.

Więc cóż oznacza powrót do serca, jako źródła tworzenia? — tak sobie medytowałem na owym koncercie. Uprzytomniły sobie dobre istynkty rasy, że przyszedł czas tworzenia, ale nie tego radosnego, które chce czegoś dokonać mechanicznie, ale że nie ma widzenia wielkiej całości, więc kończy na rabunku. Przyszedł czas na widzenie, że tworzymy cywilizację chrześcijańską, wymagającą natchnień serca, w którem się mieści metafizyczna przekładnia z torów działania samolubnego na tory ofiarne. Stało się potrzebne serce.

Nie szukajcie ojczyzny daleko — mówił Mickiewicz. — Ona jest w sercu waszem. Nie trzeba też szukać daleko siebie samego. Gdzie kto stoi, stąd jest wejście do przybytku tworzenia. Przy największej egzaltacji na punkcie wielkich programów nic nie zrobimy bez centralnego zorganizowania siebie, aby człowiek działał cały bez zostawiania serca odłogiem i sam był naprzód dziełem całkowitem, pierwowzorem rzeczy, które ma tworzyć.

Rozprzęgnięci z wiązadeł wewnętrznych, zmaterjalizowani, zracjonalizowani w moralności ludzie, zatraciwszy ową oś metafizyczną świata, prowadzącą przez serce, wytrzeszczają oczy na nazwę „faszyzm“, coby miała znaczyć. Lepiejby patrzyli na emblemat, na owe rózgi liktorskie mocno związane. Pierwsze zadanie wszelkiego odrodzenia, to związać człowieka, aby przedstawiał siłę moralną i nie był, jak bohaterowie B. Shaw'a, przedmiotem wstrętu dla siebie samego.

Serce odnaleźć i uczynić je centrum świata — oto hasło, którem się odciąć muszą kraje katolickie od ginącego świata i wywyższyć nad barbarzyństwo.

ZYGMUNT WASILEWSKI

MŁODOSĆ

Lecą zimy i wiosny, lata i jesienie...
W mgłach czasu stara ziemia przez bezmiar się toczy...
Wieczna młodość ponad nią puszcza w przestrzeń oczy
I bierze w pierś natury boskiej zachwycenie.

Światło jakby poranne z niebieskich przezroczy
Rozbija nad dalekie łąki i strumienie
W opar tęczowy deszcze, a mgły w rozpylenie,
W puch przestwór, który z ziemią niebiosa jednoczy.

Pył niezmiernej pogody, błękitny i siny,
Jak uśmiech nieśmiertelnej duszy, nad mrokami
W omżach czasu drzemiącej, dalekiej krainy...

Czyjś cichy, ciepły oddech czuję za plecami —
I moc nademną bierze mój anioł jedyny;
Młodość wieczna jak morze kwitnące pianami!

Medyka MICHAŁ PAWLIKOWSKI

P. S. Sonet powyższy wydrukowaliśmy w poprzednim zeszycie z błędami, które zniekształciły jego myśl poetycką. Podajemy go powtórnie w brzmieniu właściwem.

WYCHOWANIE NARODOWE

DAR NARODOWY 3 MAJA

KIEDY w setną rocznicę Konstytucji 3 maja grono oświatowców galicyjskich z Adamem Asnykiem na czele rzuciło myśl połączenia rocznicy Konstytucji z darem narodowym na cele oświatowe, nie wiemy, czy przed oczyma ich unosiły się już obrazy tych wielkich dzieł, jakie z czasem miały stać się za sprawą owych majowych zbiórek. Nie wiemy, czy przewidywali, jakie to wspaniałe gmachy, wybudowane z groszowych składek, powstaną na naszem pograniczu śląskiem, czy widzieli przed sobą olbrzymi gmach lwowskiej Bursy Grunwaldzkiej, czy przeczuwali, że z czasem za sprawą tej daniny stanie w dawnej Galicji sieć prywatnych szkółek eksponowanych, broniących mniejszość polską od wynarodowienia, że wreszcie danina 3-majowa przerzuci się na dwie inne dzielnice, stając się główną podstawą prac oświatowych w Kongresówce i w dzielnicy zachodniej.

Napewno jednak nie przewidywano wówczas, że ten dobrowolny podatek oświatowy przejdzie także do niepodległej Polski i że — nic nie straci na swej aktualności po odzyskaniu niepodległości.

Albowiem dar narodowy 3 maja składa dziś społeczeństwo polskie nie tylko ze zwyczaju i dla poszanowania tradycji. Jest ten dobrowolny podatek ciągle jeszcze społeczeństwu niezbędnie potrzebny, mimo, a może nawet właśnie dlatego, że budżet oświatowy Państwa osiągnął imponujące cyfry, i że przewiduje on znaczne kredyty na oświatę pozaszkolną.

Jest potrzebna danina 3 majowa przedewszystkiem dla podtrzymania wielkich prac oświatowych, rozpoczętych na wschodzie i na zachodzie państwa przez największe nasze instytucje oświatowe: dla dokończenia tych setek domów ludowych, które z braku funduszów zatrzymały się w trakcie budowy (gdy dokoła powstają jak grzyby po deszczu domy ludowe „Proświty"), dla utrzymania tych burs polskich w Nowogródczyźnie, które umożliwiają studja dzieciom osadników polskich, gdy o dzieci białoruskie zatroszczyło się państwo, dalej dla rozwoju tych tysięcy bibljotek P. M. S., T. S. L., i T. C. L., pozwalających obywatelom państwa bez względu na ich narodowość, poznawać skarby literatury polskiej, jest potrzebna dla uniwersytetów ludowych T. C. L., służących jedynie oświacie narodowej, a nie przejściowym prądem politycznym, jest potrzebna na wiele innych jeszcze konkretnych prac oświatowych.

Ale to nie wszystko. Chodzi nietylko o podtrzymanie istniejących placówek oświatowych i rozwój ich na przyszłość.

Dar narodowy 3 maja, ten dobrowolny podatek narodu, wpłacany bezpośrednio do kas instytucyj oświatowych jest bowiem również gwarancją niezależności duchowej polskich organizacyj oświatowych, jest gwarancją swobodnej ich pracy tylko i wyłącznie dla narodu.

W chwili gdy, w oczach naszych dziesiątki i setki wszelkiego typu organizacyj społecznych zatracają całkowicie swą fizjognomję duchową i stają się tylko półoficjalnemi ekspozyturami rządu, gdy z lekkiem sercem rezygnują z poparcia społeczeństwa i opierają byt swój wyłącznie na subwencjach rządowych, w takiej chwili istnienie i rozwój wszelkich organizacyj społecznych niezależnych, opierających pracę na dobrowolnym podatku narodowym, jest objawem niezwykle ważnym i doniosłym.

Pisząc to, myślę nietylko o tym smutnym fakcie, że w ostatnich latach oświata państwowa staje się aż nazbyt często pojęciem zgoła innem, niż oświata narodowa; myślę przedewszystkiem o groźnem niebezpieczeństwie e t a t y z a c j i o ś w i a t y p o z a s z k o l n e j. Wiara bowiem w wszechwładzę jednego człowieka wywołała u naszych sfer decydujących zgubną wiarę w wszechwładzę rządu, a ta znów stała się, jak wiadomo, źródłem karykaturalnej etatyzacji życia społecznego.

Mamy więc etatyzację g o s p o d a r c z ą, która po krótkotrwałych triumfach doprowadziła do ruiny nasz przemysł i handel, a państwu odcięła źródła podatkowe. Mamy etatyzm w y c h o w a w c z y z jego teorją tak zwanego „wychowania państwowego", które w istocie ma być tylko wychowaniem rządowem i doprowadziło już do ostrych konfliktów między szkołą a domem, oraz szkołą a młodzieżą; mamy wreszcie analogiczny e t a t y z m o ś w i a t y p o z a s z k o l n e j, który pragnie całą działalność na tem polu ująć w ręce państwa.

Skutki tego etatyzmu oświaty pozaszkolnej nie są jeszcze w całej pełni widoczne dla każdego obywatela. Widzimy dotąd tylko jego jaskrawe objawy; obserwujemy ogromny wzrost kredytów państwowych na oświatę pozaszkolną, widzimy instytucje oświatowe, głoszące rzekomo „nowożytne metody pracy", a zawdzięczające byt swój prawie wyłącznie subwencjom rządowym lub nakazanym przez rząd subwencjom samorządowym. Dostrzegamy i takie instytucje, o których działalności nic nikomu na zewnątrz niewiadomo, a które objawiają swe istnienie dopiero z okazji — sprawozdania z rozdziału subwencyj Banku Gospodarstwa Krajowego.

Przyglądamy się uważnie dziesiątkom i setkom członków radykalnego Związku nauczycielskiego, urlopowanych z posad nauczycielskich na stanowiska instruktorów oświatowych (państwowych lub rzekomo samorządowych). Widzimy, jak cała ta armja o małej stosunkowo kulturze, ale w sposób prymitywny ustawicznie dokształcana na specjalnych kursach, wytrwale (za pieniądze podatkowe — społeczeństwa) szerzy wśród ludu tak zwaną „ideologję marszałka", to jest w istocie „bebeesowską" ideologję radykalizmu społecznego z obfitą przymieszką kultu jednej osoby. Widzimy wreszcie, jak taż sama armja pod hasłem rzekomej „fachowości oświaty pozaszkolnej" rozbija uparcie, z bezmyślnością półinteligentów, każdą samodzielną akcję oświatową polską, o ile tylko nie jest ona półoficjalną ekspozyturą rządu.

Cała ta armja ma już nawet hasło wymierzone przeciwko zbiórce trzeciomajowej (jakkolwiek rząd dotychczas jeszcze przez przyzwoitość formalnie patronuje zbiórce). Hasło to brzmi: „Precz z żebraniną"! (Istotnie: pocóż im wyciągać rękę do społeczeństwa, kiedy mają otwarte — kasy podatkowe).

To widzimy i słyszymy już wszyscy. Jesteśmy bowiem w apogeum radosnej twórczości rządu na niwie oświaty ludowej. Ale tylko niewielu z nas obserwuje równocześnie rosnące zwolna skutki tej akcji. Niewielu tylko obserwuje, jak słabym nurtem płynie istotne zainteresowanie społeczne dokoła owych półoficjalnych placówek ra-

dosnej twórczości. Oświata pozaszkolna prowadzona przez „speców“ za pieniądze państwowe nie nakłada wprawdzie specjalnych trosk na obywateli, ale zaczyna też coraz mniej społeczeństwo interesować.

W powiatach, nielicznych dotąd na szczęście, w których instruktorzy zdołali „położyć“ już wszelką inną działalność niefachową, zaczyna zwolna nastawać stan błogiej nieczułości na wszystkie zagadnienia oświaty ludu. Inteligent, który przy „starym systemie“ oświaty tłukł się co niedziela chłopskim wózkiem z odczytem na wieś, dziś bez wyrzutów sumienia gra w *bridge'a* całą niedzielę. Kwestje oświatowe za tego „dyletanta“ — sędziego czy nauczyciela szkoły średniej, załatwia przecie fachowiec: kwalifikowany absolwent seminarjum nauczycielskiego oraz dwumiesięcznych kursów instruktorskich, starannie dobrany z pośród członków ZPNSP, by mógł się stać koncesjonowanym interpretatorem znanej „ideologji“.

Panienka ze dworu (cóż za anachroniczny termin!), która popołudniami pożyczała książki dziewuchom wiejskim, dziś nie potrzebuje o tem myśleć; nad duszą dziewcząt wiejskich czuwa, specjalnie do „pracy oświatowej“ wyznaczony, ten sam właśnie „instruktor“, fachowiec od kształcenia dorosłych, z emaljowaną odznaką Związku nauczycielskiego w klapie marynarki.

Poczciwy ksiądz proboszcz próbuje jeszcze tu i ówdzie podjąć pracę pod „reakcyjnem“ hasłem „Bóg i Ojczyzna“, no, ale ta jego praca oświatowa, to jest właśnie ów osławiony teren walki „kleru z oświatą“. Więc jaki taki ksiądz też daje spokój tej pracy i pozostawia swe owieczki w doświadczonych rękach tegoż samego instruktora oświatowego.

Słowem — stare metody poszły w kąt, a nastąpiła era „nowożytnych prac“ w dziedzinie kształcenia dorosłych. Słowem — urzędnicy oświatowi działają, a społeczeństwo przypatruje się. Nowoczesna oficjalna oświata pozaszkolna w Polsce, jednolicie „nastawiona“ na kursach łowickich, z jednolitym (ach jak rozpaczliwie jednolitym!) poziomem umysłowości instruktorów, z jednolitą metodą pracy, z jednolitą pogardą dla archaicznych metod, z jednolitemi odznakami w klapach surdutów instruktorskich, ta cała oficjalna oświata pozaszkolna wytwarza też jednolity błogostan spokoju w inteligencji polskiej, no i *last not least* — jest jednolicie nudna, niczem numery „Gazety Polskiej“ lub „Przedświtu“.

Co wyniknie z tego znieczulenia społeczeństwa polskiego na zagadnienia oświatowe, w chwili, gdy Rusini i Niemcy z całą furją „*antiquo modo*“ najlepsze siły swojej inteligencji rzucają na teren pracy oświatowej, to nietrudno sobie wyobrazić. Naszem zdaniem ten etatyzm oświatowy wraz z towarzyszącą mu apatją polskich sfer inteligentnych jest jednym z najgroźniejszych skutków rządów pomajowych.

Stare zaś metody pracy polskich towarzystw oświatowych, metody oparte na „pospolitem ruszeniu“ całej inteligencji dla oświaty dorosłych, są dziś właśnie bardziej, niż kiedykolwiek, godne żywiołowego poparcia.

Oto dlaczego dar narodowy 3 maja zasługuje na gorące poparcie całej narodowej opinji. Oto dlaczego datki na pracę oświatową powinny w tym roku popłynąć szerokiem korytem.

W. JAWORSKI

NAUKA I LITERATURA

NOWA KSIĄŻKA O WARSZAWIE

WARSZAWA nie uchodzi za najpiękniejszą ze stolic polskich. Pomimo to miała w literaturze więcej bodajże panegirystów, niż którykolwiek z innych grodów. Posiada liczne monografje, opisujące szczegółowo jej uroki architektoniczne. Pierwszą napisał jeszcze w siedemnastym wieku (rymem) muzykus i budowniczy J. K. M. Władysława IV—Jarzemski. Za czasów Stanisławowskich sławiło wdzięki syreniego grodu wielu poetów. Najpiękniejszy jednak poemat ku jego czci stworzył przed „Nocą listopadową“ Wyspiańskiego nie literat, lecz włoski malarz Canaletto, którego cykl warszawskich pejzażów zdobi jedną z sal Królewskiego Zamku. Potem od Magiera, przez Sobieszczańskiego, Bartoszewicza, Wójcickiego, Kraushara, Przyborowskiego i Gomulickiego aż do Rajnolda Przeździeckiego, Tatarkiewicza i Lauterbacha mamy szereg prac: studjów, przyczynków, monografij, tak długi, że go wyliczać tu niepodobna. Wszystkie zaś owe prace, bez względu na to, czy są historyczne, czy estetyczne, tchną synowską miłością dla macierzystego miasta i entuzjazmem dla jego piękności, trudnych często nie wtajemniczonemu turyście do odszukania i zrozumienia.

Obecnie nakładem Wydawnictwa Polskiego (R. Wegenera) w Poznaniu wyszła książka Aleksandra Janowskiego p. t. „Warszawa“. Ukazała się ona w kolekcji „Cuda Polski“, wzorowanej na znanem wydawnictwie turystycznem francuskiem *(Éditions Rey)*. Książka ta, napisana przez długoletniego i zasłużonego prezesa Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, będzie się niewątpliwie cieszyła powodzeniem u szerokiej publiczności.

Nie jest to ani naukowe monografja, ani też przewodnik typu katalogowego. Nie zastąpi ona prac dawniejszych i niema pretensyj do świeżych odkryć. Autor zadowolił się spopularyzowaniem materjału anegdotyczno - historycznego, opracowawszy go bardzo przystępnie i z literackim wdziękiem. Odzwierciedlił dzieje Warszawy od ginącego w pomroce wieków początku rybackiej wioski, aż po dni dzisiejsze, przepajając miejscami prozę swoją liryzmem iście poetyckim. Ogromnie dużo staranności włożył w dobór ilustracyj, które stanowią w jego dziele moment szczególnie doniosły. Tak pięknych fotografij nie posiadała dotychczas żadna z książek o Warszawie. Pod tym względem ustępują pracy Janowskiego nawet kosztownie wydane przez Instytut Wydawniczy Bibljoteki Polskiej książki Przeździeckiego i Lauterbacha. Oprócz paru portretów, znanych skądinąd — większość chyba zdjęć reprodukowana jest tutaj po raz pierwszy. Przynajmniej w tych formatach. Zdjęcia są niezmiernie efektowne. Wiele z nich rywalizować może z pracami Bułhaka. Specjalne komplementy należą się panu T. Rożankowskiemu za akwarelę okładkową i Bydgoskim Zakładom Graficznym za idealne wykonanie heljograwiur.

G.

„REJTAN“ BROŃCZYKA

UTALENTOWANY poeta i dramaturg Kazimierz Brończyk, autor znanego w Warszawie ze sceny dramatu „Żółkiewski“ wydał teraz (nakładem Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie) nowy dramat p. t. „Rejtan“ (3 akty).

Na tle katastrofy pierwszego rozbioru tragiczne zarysowało się zagadnienie, czy naród jest prawem moralnem, niewysychającem źródłem mocy, a dalej — czem ufundować to prawo — na świadomości indywidualnej, czy na wypadkowej zbiorowego wysiłku społeczności. Zagadnienie równie aktualne dziś, jak kiedyś. Ta aktualność wyziera z dramatu

Brończyka. Jest to dzieło, na wzór dotychczasowych utworów scenicznych tegoż autora, wyrażeniem dzisiejszości pod pretekstem tragedji historycznej. Akcja dramatu rozgrywa się w przeciągu dwu dni i jednej nocy. Akt pierwszy przedstawia króla Stanisława i jego najbliższe otoczenie w przeddzień tragicznej sesji sejmu rozbiorowego. Dusze przeżarte rozkładczym racjonalizmem XVIII w., bez woli, której warunkiem wiara w określony dogmat, dusze z kruchej porcelany, tragiczne swoją niemocą wobec wielkości wypadków.

Akt drugi—to matejkowska scena sejmowa. Rejtan szukający oparcia dla moralnego prawa narodu w owej wypadkowej zbiorowego wysiłku, a kiedy go tam nie znajduje, kiedy naród gniewny nie wszedł na sale sejmową i nie zburzył ohydnego dzieła Ponińskich, wówczas pada na próg z obłędem w głowie nieszczęsnej. Akt III, rozgrywający się w tejże sali sejmowej w nocy, przeprowadza Rejtana poprzez mroki obłędu do wyzwolin w tej prawdzie, że prawo moralne jest przecież w irracjonalnej świadomości indywidualnej człowieka, że wystarczy, gdy jeden człowiek spożyje Boga w komunji, aby On był w niebie.

Z. O.

Z ŻYCIA NAUKOWEGO I LITERACKIEGO

Miasto Warszawa przyznało w tym roku nagrodę literacką Wł. Orkanowi, za zasługi na polu sztuk plastycznych, Wyczółkowskiemu, na polu muzyki zaś nagrodzony został popularny i wielce zasłużony dyrektor „Lutni" Piotr Maszyński. Miasto Łódź przyznało nagrodę uczonemu slawiście Aleksandrowi Brücknerowi, autorowi „Dziejów kultury polskiej", których tom pierwszy już ukazał się w handlu i „Słownika etymologicznego". Miasto Lwów uczyniło laureatem literatury Ignacego Nikorowicza. Syn kompozytora, który stworzył melodję do chorału Ujejskiego, dał się poznać w literaturze przed trzydziestu kilku laty jako autor komedji „W gołębniku"; potem napisał powieść „Jan Kiszocki". Talent miły, nawet biżuteryjny, ale bardzo kameralny, bez głębszego tchu, wiotki i błahych zainteresowań, bez barwy moralnej i narodowej. To też nagroda zadziwiła wszystkich, ile że Nikorowicz mieszka zagranicą. Lwów widocznie traci pamięć, skoro zapomniał, że ma u siebie jedną z najznakomitszych w Polsce poetek, Marylę Wolską, lwowiankę, przechowującą i sławiącą w arcydziełach wspomnień poetyckich tradycje lwowskie („Dzbanek malin"), autorkę ponadto pomnikowego dzieła o Grottgerze i lwowiance Wandzie Młodnickiej. Przykre roztargnienie!

*

Dnia 31 z. m. mieszkańcy Pułtuska obchodzili uroczyście jubileusz 25-lecia pracy p. Antoniego Sikorskiego na polu literatury i teatru. P. Sikorski zaczął swą pracę literacką od r. 1904. Ukończywszy szkołę aplikacyjną przy warszawskich teatrach, w r. 1911 prowadził Teatr Komedji w Płocku, a od r. 1912 do wojny był współredaktorem „Echa literacko-artystycznego" w Warszawie. W czasie wojny do r. 1917 pracował w Teatrze Małym jako aktor i sekretarz literacki, poczem przeniósł się na służbę państwową do Pułtuska, gdzie zorganizował Sekcję Dramatyczną Urzędników i do dziś nią kieruje. Redagował tam „Głos z nad Narwi" i „Goniec Mazowiecki". Wydał drukiem „Komik" nowele (1911), „Baletnice" (1913), „Dwa bieguny" dramat (1914), „Upadek orła" dramat, „Tętenty miłosne" nowele i trzy broszury o „Teatrze Pułtuskim". Wystawił kilka utworów własnych, między innemi napisany wspólnie z Elizą Orzeszkową dramat „Argonauci". Pozatem tłumaczył dla teatrów z rosyjskiego utwory Czechowa, Juszkiewicza, Ryszkowa, Teffi, Awerczenki i in.

RUCH WYDAWNICZY

W 10-tą rocznicę odzyskania przez Państwo Polskie wybrzeża morskiego ukazał się nakładem Instytutu Bałtyckiego w Toruniu obszerny tom p. t. „Obrona Pomorza" jako praca zbiorowa 12 autorów pod redakcją Józefa Borowika, dyrektora Instytutu. (Skład główny Gebethner i Wolff w Warszawie, str. 237 + XV, 42 tablice, 14 map, schematów i wykresów). Na całość tomu składają się rozprawy wybitnych znawców zagadnienia morskiego i spraw gospodarczych Pomorza, wygłoszone w formie prelekcyj na Kursie Akademickim dla Publicystów i Dziennikarzy, zorganizowanym w Toruniu w początkach stycznia b. r.

„Obronę Pomorza" otwiera syntetyczny zarys polskiej polityki morskiej, skreślony przez ministra Kwiatkowskiego. Następnie znajdujemy cenne uwagi p. t. „Problem polskiego portu morskiego" inż. T. Nosowicza, oraz na temat „Rola inicjatywy prywatnej w rozbudowie Gdyni" inż. C. Klarnera. W dalszym ciągu mamy bardzo ciekawy referat dra F. Hilchena. p. t. „Źródła rozwoju portów polskich" oraz uwagi dra A. Siebeneichena: „Konkurencja portów bałtyckich". Dalej: 3 obszerne rozprawy o handlu morskim M. Turskiego, Wartalskiego oraz inż. H. Bagińskiego. Rummel podaje bardzo cenne wiadomości i wskazówki w referacie „Polska flota handlowa" a prof. M. Siedlecki ujmuje zagadnienie rybactwa morskiego w barwnym zarysie p. t. „Niewyzyskane walory morza". W końcu przedstawione są potrzeby gospodarcze obrony Pomorza w rozprawach dra K. Esden-Tempskiego „Ekspansja morska a obrona rolnictwa na Pomorzu", oraz inż. Celichowskiego „O doraźny program gospodarczy Pomorza".

Ze względu na żywotność poruszonych zagadnień i bogaty materjał informacyjny i statystyczny należy się spodziewać, że dorobek ten z zakresu naszej literatury morskiej spotka się z ogólnem zainteresowaniem, świadczącem o zrozumieniu doniosłości naszego dostępu do morza.

*

W Siedlcach wyszedł w tym roku „Półrocznik wychowanków Podlaskiego mniejszego Seminarjum Duchownego czyli Wyższego gimnazjum biskupa podlaskiego w Siedlcach" za półrocze pierwsze r. 1929/30, wydany pod kierunkiem prof. Teodora Turka (Str. 63, ilustracje i portret bisk. Przeździeckiego). Szkoła siedlecka, wymieniona w tytule, została powołana do życia w r. 1923 przez biskupa podlaskiego ks. Przeździeckiego. Liceum to pomyślane jest jako szkoła uzupełniająca dla kandydatów do seminarjum do poziomu matury, ma też tylko klasy wyższe. W r. 1928 wyszli ze szkoły pierwsi maturzyści. O wysokim poziomie szkoły świadczy wydawnictwo, o którem mowa. Cały tom powstał wyłącznie z prac literackich i utworów poetyckich uczniów szkoły. Szkoła, jak widać ze sprawozdania, ma dobrą bibljotekę i pomoce naukowe, ale przedewszystkiem dobrych nauczycieli. Uczniowie pracują poza szkołą w kółkach, na których wygłaszają referaty. Zapewne lepsze z nich dostały się do rocznika. Są między temi pracami interesujące próby umysłowości i taletów, a rozmaitość tematów znaczna. Jeden z uczniów kl. VIII dał artykuł programowy „Przez pracę i oświatę do potęgi", w którym zwraca uwagę charakterystyczne dla dzisiejszego pokolenia zdanie: „Można nawet powiedzieć, że dobrobyt materjalny winien być naszym pierwszym celem"... Ale jest zaraz potem rozbiór „Ody do młodości Mickiewicza". Całość bardzo miłe robi wrażenie, jako świadectwo uduchowienia młodzieży.

*

Ukazał się zeszyt 2-gi „Kwartalnika Pedagogicznego (za r. 1930), organu Sekcji pedagogicznej Stow. Chrześcijańsko-narodowego nauczycieli szkół powszechnych. Artykuł wstępny prof. L. Jaxy Bykowskiego „O polski ideał wychowawczy" powinien być przedrukowany przez wszystkie pisma, pragnące oddziaływać na wychowanie narodu. Trzy studja, wypełniające większą część książki, przynoszą chlubę redakcji, która umie znaleźć pracowników naukowych w dziedzinie wychowania. Są to prace: 1) prof. S. Szumana „Znaczenie dzienników młodzieży" (mowa o pamiętnikach), 2) J. Lewickiego „Włoska reforma wychowania", 3) A. Dryjskiego „Psychoanaliza i wychowanie płciowe". Resztę zeszytu zajmują recenzje z książek i sprawy zawodowe. Cena zesz. 3 zł. Adres wyd.: Warszawa, Senatorska 19.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Jeszcze za czasów Primo de Rivery napisał znany hiszpański polityk i działacz na polu gospodarczem F. Cambo książkę o dyktaturze p. t. „*Les Dictatures*" (Felix Alcan). Autor jest zasadniczym przeciwnikiem dyktatury, uznaje jednak pewne dobre strony dyktatury Musoliniego, przepowiada dłuższe trwanie dyktatorom Kemela-Paszy i Stalina. Trafną jest w książce analiza przyczyn politycznych i gospodarczych, które w Europie współczesnej wywołały powstanie tak licznych dyktatur. Choć p. Cambo, pisząc swą książkę, miał przedewszystkiem na myśli Hiszpanję, przeczyta ją z natężeniem i pożytkiem czytelnik polski, żyjący także w kraju, rządzonym przez dyktatora.

*

Mnożą się książki poświęcone Chinom współczesnym. Zasługuje wśród nich na uwagę rzecz napisana przez hr. Sforzę („*L'enigme chinoise*"), który był swego czasu posłem włoskim w Pekinie, a w 1927 odbył podróż do Chin w charakterze korespondenta dziennika „*Journal des Debats*". Hr. Sforza umie patrzeć i ma zmysł polityczny. To też

książka jego wyjaśnia wiele „zagadek“ chińskich; interesujące jest w niej zwłaszcza przedstawienie polityki i wpływów różnych mocarstw na terenie chińskim. Ponieważ samo zagadnienie robi się coraz bardziej aktualne, więc i książka jest wciąż interesująca.

*

Moretti jest jednym z najpoczytniejszych autorów italskich. Najnowszą jego książką jest powieść *„La Casa de Santo Sangue“* (Dom Krwi Świętej). Temat powieści wzięty jest z życia flamandzkiego, a raczej z życia pewnego rodzaju klasztorków bez klauzury, domków nie różniących się niczem od innych malowniczych domków flamandzkich. W klasztorkach tych mieszkają grupami pobożne kobiety, nie zrywając kontaktu ze światem. Na tak charakterystycznem tle Moretti snuje idyllę, splatającą się z cichą tragedją, opowiedzianą jednak z lekkim humorem. Poprzednia książka Moretti'ego *„Il trono dei poveri“* (Tron maluczkich), przedstawiająca obraz jednej z najmniejszych republik na świecie, San Marino, poruszyła do żywego dumnych, niezależnych jej obywateli. Moretti jest mistrzem w przedstawianiu właśnie skromnych tematów i skromnego środowiska.

*

Wenceslao Fernández-Flórez, autor hiszpański odznaczający się dowcipem i bystrością obserwacji, ogłosił ostatnio książkę *„Fantasmas“*. Ujmuje w niej w sposób zabawny liczne zagadnienia życia i świata. Postacie występujące w książce, które właściwiej możnaby było nazwać marjonetkami symbolizującemi pewne typy, są niezwykle przejrzyste. Paradoksalność i humor, zawarty w książce, jest nieporównany.

SZTUKI PLASTYCZNE

W KRÓLESTWIE BARW

Kobiety i malarze mają polecone od Boga posłannictwo szerzenia w społeczeństwie ludzkiem kultu dla barwności życia. Bez nich utonęlibyśmy w szarzyźnie. Kobiety strojami swojemi, malarze — dziełami swojej sztuki wzbogacają i uwytworniają świat kolorystycznie. Tych, którzy są jeszcze surowi w odczuwaniu barw, prowadzą na wyższe stopnie kultury oka, a tych, którzy są przesyceni życiem, zatrzymują przy jego zdrowej i świeżej tężyznie. Strojna kobieta więcej wartości przysparza, niż to się śniło lekarzom i filozofom. Możnaby spytać, dlaczego w szpitalach jest tak bezbarwnie, nudno, szaro i snują się tylko „szarytki“, gdy tam właśnie powinno być barwnie, kwietnie, radośnie i powinne kręcić się „kolorytki“.

Do sztuki malarzów jakoś jeszcze nie wtrącają swoich trzech groszy różni moraliści. Natomiast, w ostatnich, zwłaszcza, latach, dużo słyszy się narzekań, wyrzutów, protestów i świętych oburzeń przeciwko strojom i modom kobiecym. Lawinę świętoszkowstwa z drzemiącej równowagi wytrąciła szczególnie jedna mała rzecz — krótka, tuż za kolana sukienka. Lawina spokojnie dotychczas patrzyła na miljony naszych po wsiach Maryś i Kasiąt, które od wieków w krótkich — tuż za kolana — sukienkach chadzały i chodzą, a oburzyła się na widok takich samych sukienek w stolicy i miastach. Dziwna wrażliwość! Na szczęście kobiety nic sobie z lawiny nie robią, a nawet jeszcze o jeden centymetr sukienki swoje skróciły. Odpowiedź godna Bonapartego!

Kwiaty, kobiety i malarze to trzy najbogatsze krynice barw, a nad niemi patronuje słońce — największy impresjonista, malarz o boskiej fantazji, chociaż bez szkoły. Niema jednak krucjaty przeciw kwiatom, malarzom i słońcu, tylko bezbronne kobiety stały się celem złośliwych planów strategicznych i taktycznych ataków. Bezbronne? Tak się to wydaje napozór, tak się o nich mówi potocznie, tak one same chętnie utrzymują o sobie. Przemyślne istoty! W tem właśnie ich broń najskuteczniejsza, że się nie bronią. Są jak równiny i stepy bezkresne, są jak morza bezgraniczne, które nieskończonością swoją wchłoną wszystkie armje napoleońskie, wszystkie pochody krzyżowe, wszystkie Armady groźne, i pozostaną zawsze czem są i według Boga rozkazu być mają — boginią Mają, ułudą życia, barwnym kobiercem miłości i kwietnikiem wiecznych narodzin. Niedarmo kobieta należy do gatunku istot jamochłonnych.

Bezbronne są raczej kwiaty i artyści—malarze, zwłaszcza w Warszawie współczesnej, gdzie tak mało kwiatów i kolorystów. Najbardziej suchotnicza i najbrzydsza ze stolic europejskich — Warszawa może pochwalić się jedyną, na całej linji zwycięską krucjatą: przeciwko kwiatom. Kto jeszcze oczy posiada nie do liczenia groszów, złotych czy stuzłotówek, niechaj popatrzy, idąc ulicami, na okna i balkony kamienic. Jeśli na kilometrze znajdzie jedno okno z kwietnicą (po warszawsku — „żardinjerką“) to dużo, jeżeli— jeden balkon ukwiecony — to już bogato! Jakgdyby dżuma przeszła po licach kamienic: — szaro i pusto. Stolica lasecznników, pluskiew i żydów wypowiedziała wojnę kwiatom i zwyciężyła. Niewiadomo poco jeździ tu od czasu do czasu ogromny żuk metalowy i polewa jezdnie wodą wiślaną. Psuje tylko styl grodu.

Że w takiem mieście chodzą i śmieją się strojne, lub wystrojone kobiety — to dziw nad dziwy! Widocznie one tylko siebie widzą i może jeszcze swoją toaletę, gdzie trochę perfum i kwiat jaki postawią. Dalej — do okna, mieszkania, balkonu, ulicy — już wzrok ich nie sięga ani węch, niestety! Z niezmiennym wdziękiem oddychają ostrym i ohydnym kurzem ulicznym, bez troski o tło poruszają się na tle beznadziejnie szarych i pustych, więziennych murów miasta. Czy boją się współzawodnictwa kwiatów w zakresie barw i zapachów, że nie zatroszczą się o upiększenie okien i balkonów własnego mieszkania? — Trudno określić granicę drażliwości kobiecej w sprawie współzawodnictwa. Czasem zazdrosne są o sztukę, ba! nawet o naukę, tembardziej zatem mogą koso patrzeć na kwiaty. Lecz tu się mylą, bo kwiaty podnoszą wdzięk kobiecy. Nie hołdują chyba maksymie, że nie suknia podnosi kobietę, lecz kobieta — suknię, co już przesądem się stało w epoce krótkich sukienek, a zresztą nigdy prawdą nie było. Wszędzie i zawsze „inni szatani byli tam czynni“ i tak, pomimo wszelkich postępów, na wieki zostanie.

Nie giną wprawdzie kobiety w Warszawie z braku kwiatów i barw w otoczeniu, ale giną artyści — malarze. Nie mówię tu o głodzie, (do tego oni przywykli), lecz o tak zwanej atmosferze duchowej miasta, która tu zabójczo na sztukę działa, nawet na tak uznaną w Warszawie sztukę malarską. Malarstwo współczesne w Polsce, a w szczególności w Warszawie, choruje na anemję barw, chociaż wywodzi się z impresjonizmu, który barwami wyłącznie wojował. Jeszcze nie weszło na progi królestwa barw. Poczęści błąka się na jałowiznach naturalizmu i realizmu, poczęści programowo wyjaławia się z koloru i kolorytu na rzecz, jakoby, wyrazu („ekspresji“), budowy i innych, zawsze cząstkowych kierunków i haseł. Ale w malarstwie barwa jest rzeczą równie ważną, jak linja, budowa i wyraz, i nigdy pomijać jej niewolno. Impresjonizm nie miał monopolu na kolorystykę, zato ma go pełna, bogata uczuciowość artysty, jego poetyczne świata widzenie. Tylko one dają prawo do koloru. Obraz malowany kolorowo, lecz pozbawiony ekstazy barwnej jest czemś w rodzaju pospolitego gadulstwa, opatrzonego rymami. Przykra, pretensjonalna „poezja“ kuchenna.

Naturalizm w swoim obłędzie łapania barw z przyrody zupełnie zaniedbał wewnętrznego przeżywania barw, przetapiania barw na uczucia, nie mówiąc już o tem, że mu na myśl nawet nie przychodzi przetapianie uczuć artysty na barwy. A tylko taka barwa, z uczucia przetopiona, żyje i gra i śpiewa. Reszta jest nudnem, zbytecznem gadulstwem. Pełne są tego wystawy nasze i w pełni charakteryzują pospolitość duszy artystów. Królestwo barw zamknięte przed sposobami ich łatwości fotograficznej, przyłapującej okruchy przyrody i słońca. O wiele trudniej żyć pełnią i głębią uczuć własnych, o — tak! i o wiele kosztowniej... Płaci się za to po królewsku i bohatersku, a nie opłaca się z zewnątrz, od świata niczem, lub grudą i kamieniami.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

OFENSYWA

NAGRODA WARSZAWSKA CZYLI „PRO DOMO SUA“

JA się nie skarżę, ale ostatecznie do kroćset djabłów czasem na krótko w człowieku jednak się krew zagotuje i pięści zacisną ze złości. *Sacro egoismo*. A mianowicie te nagrody, te nagrody, więc bądź co bądź gotówka, ładna gotówka. To miasto daje 10 tysięcy, tamto 15 tysięcy, inne 8 tysięcy ale bądź co bądź tysięcy a nie setek. Co jakiś czas gdzieś, ktoś, komuś, coś, a mnie nigdy nigdzie nikt nic. Odkąd w r. 1916-tym 5 sierpnia wkroczyli do Warszawy Prusacy a za nimi zaczęły z Galicji walić się pociągi za pociągami, przepełnione gotowym materjałem... państwo—twórczym i odkąd *mentalita lodomerica* (przeciw której ongiś walczyło się na miejscu), zapanowała w całej Polsce, odtąd walczący z tą mentalnością człowiek ze wszystkimi jakoś na bakier. W takiej Warszawie na ten przykład od trzydziestu lat pisze się i pisze, Teatrowi Rozmaitości, Narodowemu, Polskiemu sztuk i widowisk dało razem 14-ście, tysiąc przeszło razy chyba widownię zapełniło. Nadto książek też dużo, a to opowiastki, a to nowele, a to studja, poczem znów przez lat szesnaście publicystyczna praca Syzyfowa, mocna, ciężka, niewdzięczna, mniejwięcej ofiarnicza, napaściami zbirów przerywana, nie rentowna, tylko nieprzyjaciół mnożąca. Gdzież więc do kroćset djabłów nagroda jaka za to wszystko? Po śmierci, obrzydliwcy? „Nasz to obyczaj cierń w życiu przeciągu kłaść naszym... mędrcom..., kamień na pociągu“? Tak?

Tego roku, mówiąc szczerze, byłem pewny, że już, już. W *jury* moc niby przyjaciół, napertyków, obcałowalskich. Nie wszyscy tam w tym trybunale mojem zdaniem kwalifikujący się już na rzeczoznawców — sędziów, boć to raczej chyba Mirjam, Lorentowicz, Wasilewski, Berent, Weysenhoff itp., mieliby tu coś do powiedzenia, nie? Ale niech tam! Niech tam Waciuchna i Wicuchna się ważni czyni, bo im to moc satysfakcji daje. Debaty tedy szły dzień, dwa dni, moc nazwisk wymieniają. Twego bracie ani nikt i przelotnie nie wspomniał. Całe pocieszenie w tem, że i Roztwora nikt nie wymienił... kilkunastu wzięli na stół i obrabiali i maglowali, a o mojej liczności nawet woźny pary z gęby nie wypuścił. A niech was kule biją, chłopaczyska niepoczciwe! A niech was kaczki zdepczą, nielojalne ludzie, niema mnie już w literaturze czy co? dlatego że „Brygadjera“ w sercu nie noszę, a jego paladynów nie mam we właściwem miejscu? Tak się wszyscy boicie żebyście na czarną listę „Sanacji“ nie poszli, że przy tym takim Kadenie (parwenjuszu dyktatury) nikt nazwiska mego wykrztusić się nie ośmieli. Ot przyjacioły, przyjacioły kochane! wstydzilibyście się wy wstydzili. A gdy do głosowania przyszło, Wierzyński na Boya ślicznie głosował, podczaż gdy pięciu na Perza a pięciu na Orkana z Poręby, poczem dopiero Kaden (ropuszka) Wierzyńskiego jął obrabiać i wtedy dopiero Wierzyński na Orkana głos swój dorzucił i Perzyński przepadł.

Cenię ja bardzo Orkana Kochanego już choćby dlatego, żem go jeden z pierwszych „odkrył“, a pierwszy w każdym razie o nim pisał. Ale mogę też po sprawiedliwości żałować, że Perzyńskiego, Warszawianina rodem, autora kilku doskonałych powieści warszawskich i najlepszych wogóle komedyj polskich, Perzyńskiego, pisarza, władającego najczystszym, najwzorowszym, klasycznym językiem polskim, Perzyńskiego, który nawet raz już ogłosił w „Robotniku“ że nic z Endecją niema wspólnego, utrącił *Krakauer* Kaden Bandrowski, moralny nihilista, lawirant, szkalownik generalicji polskiej (Barcz) pornokrata (Łuk i Lenora) i potwarca generalny narodowości polskiej na benefis niemieckich rewindykacyjnych apetytów na całe Zagłębie Węglowe.

Tego pasorzyta czy pasożyda z powinowactwa duchowego trzeba będzie bezwarunkowo zlikwidować, i to w krótkim terminie. Jest rzeczą niedopuszczalną już dalej, żeby takie coś, wydęte i rozpukłe, takie coś wścibsko-wszędobylskie tyle tu w stolicy miejsca zabierało i tak się jak szara gęś (po żydowsku) rządziło. Kaden musi być doprowadzony do porządku i Kaden będzie doprowadzony do porządku i odstawiony w tył.

Bywały tu jeszcze olbrzymsze pętaki z Krakowa i dawaliśmy sobie z nimi rady w drugiej... rundzie... A może jak się tego marszelika wyiska, to Perz w przyszłym roku nagrodę zyska.

A potem może i mnie się te to następne piętnaście tysiączków dostanie choćby już na... nagrobek... na D. O. M.

OLEANDRUS

TEN Karjerowicz Krakauerczyk Kaden Bandurski, rozdęta zbytnio ropuszka literacka, ni stąd ni zowąd cisnął się z dziką zapamiętałością na francuskiego krytyka Franka L. Schoell'a. W niedzielnej „Gazecie Polskiej“ w dodatku literackim wylał nań rozsierdzony komiwojażer Dychtatora poprostu cały kubełek brudnej wody z głowy, pełen inwektyw i obelg. O co chodzi zapoconemu parwegeniuszkowi z Oleandrów? Papkinowi i Plutarchowi Primo de Brigady? Zemsta! *Revanche! Remember!!!*

Frank L. Schoell, jeden z nielicznych, bardzo nielicznych w krytyce paryskiej przyjaciół polskiej literatury, szczery adorator naszych piór pierwszorzędnych, jak Reymonta i Weyssenhoffa, napisał w języku francuskim studjum, drukowane potem w „Przyglądzie Współczesnym“ (świetnym miesięczniku krakowskim) o tem, jaka literatura polska, jakie dzieła, jacy autorowie mogą liczyć we Francji na sukces. Napisał szczerze lojalnie i serdecznie. Nie mamy dziś Tołstojów i Dostojewskich, więc nie możemy mieć takich propagatorów i entuzjastów, jak hr. Melchior de Vogué i tysiąc Francuzów innych. Na to się nic nie poradzi, choćbyśmy wszyscy na głowach stawali i wysyłali na wszystkie strony Jellentów, Lechoniów, Kadenów, Litauerów, Neumanów i t. p. propagandziarzy i dyspozycyjnych utrzymanków.

Irytuje to często Wacia Grubińskiego, który od 20 lat marzy o tłumaczeniach i laurach paryskich, jak lisek o winogronach, a kontentować się musi tylko obiecankami, że na przyszły rok to już „Księżniczka „Judejska“ czy też „Lenin“ napewno będzie grany w Teatrze Młodych *(L'avantgarde)* przy ulicy *de Pas Perdus*... Ale Wacio Grubiński, marzyciel nieuleczalny rozwodzi swe żale delekatnie i melancholijnie. Kaden-Bandurski ordynarnie, jak typowa oferma czy Oleandrus. Spokojnie i logicznie doradzającemu p. F. Schoellowi zarzuca „prostactwo sposobu myślenia“ (Kaden... prostactwo) „cynizm łatwowierności“. „stek nonsensów i grubych cynizmów“, wreszcie przezywa francuskiego pisarza „Kalibanem cynicznym“. Co w taką pasję szewską wprawiło tego obrotnego i skrzętnego mieszczuczka? Oto rezygnacja przedewszystkiem. Kaden już zrezygnował z tego, żeby jego „Barszcza“ tłumaczono na francuski. Musi się kontentować tem, że paszkwile na Polskę i generalicję polską tłumaczą tylko Niemcy i Sowiety. A nadto? Nadto miał rację specjalnie rozwrzeszczać się na Franka L. Schoella. Pan Schoell bowiem chwali pięknie i godnie autentyczny talent Goetla, pisząc wyraźnie: „nie zdziwiłbym się, gdyby jego powodzenie wzrastało we Francji“, podczas kiedy o autorze „Lenory“, grubej, pękatej, melodramatycznej, chaotycznej, jarmarcznej, kabotyńskiej „Lenory“ pisze:

„Za to Kaden Bandrowski którego tylu Polaków (gdzie tylu Polaków?) okrzyknęło największym ich żyjącym powieściopisarzem i któremu trzeba przyznać dzielny temperament romansopisarski (czy nie komercjalny?) jest zanadto byłym legjonistą polskim, Żeromski zaś zbyt mocno naznaczył go pazurem swojego wpływu *(l'a trop marqué de sa griffe)* i jego opowiadania są naogół za długie i zanadto mętne, ażeby, jak się zdaje, mogły być przełożone na język francuski“.

Tyle Frank L. Schoell. *Inde irae*. Stąd żółć mściwego karaluszka. Już się biedaczyna pieściła snami, że będzie głaskał okładki francuskie swoich „Baszczów“ i „Łuków“ a tu taki zawód! Niechże więc pan Kaden raz już się trochę uspokoi i wypocznie. I tak zalazł i wydrapał się wysoko, jak na tę talencinę, jaką posiada. Między ślepymi łatwo mu z pomocą całej *juiverie* zostało się królem. Dalej już nie pojedzie. Jest na szczycie sukcesów. Nobla już nie dostanie, żeby się wypuczył i naprężył ile sił. Do mety pierwszy przyjdzie Goetel. Przykre atoli jest, że w stosunku do francuskiego pisarza i naszego przyjaciela zachował się jak typowy „zapluty karzeł“. Co prawda, to prawda. Jest bowiem nadal „zanadto byłym legjonistą“. A to nudne. Aktualnie mu to przyniosło profity, ale talencinę mu spętało. Nie można mieć ambicyj na jednego z następców Żeremiasza a mieć światopogląd Świtalskich, Koców, Anuszów, i sierżanta Warcholika, czy Zawiślaka, czy Przywiślaka.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Od jednego z wybitnych ziemian kresowych otrzymaliśmy wiersz następujący:

Czyny nawyknień są wynikiem,
Wplątany bywa w sieć duch ludzki.
Już dawno byłbym piłsudczykiem
Gdyby nie Piłsudski.

Twórczość—nie mafja, nie wybryki,
Służalczość wielkim błędem ludzkim.
Gdyby nie one piłsudczyki,
Byłbym za Piłsudskim.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 19-57. Zielna 47. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.